

L 178

Hygromyces asquii

1771

James Smith

James Smith

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

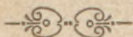
№ 254

STATYSTYKI

SZKIC.

Napisał

MARYAN MANTEUFFEL



Zygmunta Bercego

Cena 30 cent.

W prenum. 26⁹/₁₀ ce


ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCYĘ WE LWOWIE

Edmund Kolbuszowski.

Adres wydawnictwa: Lwów, plac Maryacki l. 4.

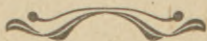
STATYŚCI.

Maryan Manteuffel.



STATYŚCI.

SZKIC.



Sygnaturka

WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZIERSKIEGO

47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 17 Октября 1902 года.



201863

I.

Karafka zimnej wody, wylana pod kołdrę, zdołała wreszcie przerwać jego kamienny sen; odwrócił się gwałtownie od ściany i ruchem nerwowym zaczął szukać — buta przy łóżku. Ale buty służąca zabrała była właśnie do czyszczenia, a szafkę nocną, z całym przyborem arsenału wojennego, przezorni napastnicy odstawili na środek pokoju. Więc, nazbierawszy niezliczoną moc kurzu w rękę, po daremnych poszukiwaniach buta, usiadł na łóżku i przecierając zaspiane oczy, wzrokiem wściekłym zaczął się rozglądać w sytuacji; powoli jednak wyraz jego twarzy łagodniał.

— A, to wy—przemówił wreszcie z napół sennym uśmiechem — a bodaj was! Staś i „Murzyn” — i tu już się śmiał na dobre — dobrze, żeście przyjechali; tylko ta woda... a niechże ją! — mówił, gramoląc się na poduszkę, jako jedyne bezpieczne, bo suche miejsce.

Staś i „Murzyn” stali tymczasem nad swą ofiarą i z filozoficznym uśmiechem przyglądali się jej rozpaczliwym wysiłkom, mającym na celu ulokowanie okazałych kształtów na marnej poduszczynie.

— Jak się masz, stary ośle! — zagrzmiął wreszcie Staś.

— Dobry dzień, kochanińki — przeciągle zawtórował Murzyn.

— Jak się macie! No, dajcie wreszcie pyśka! — wrzasnął teraz właściciel poduszki, zirytowany w końcu tem widowiskiem, jakie pomimowoli dawał.

Posypały się uściski, pocałunki z dubeltówki, pytania bez odpowiedzi, odpowiedzi bez pytania — i wkrótce trójka przyjaciół gwarzyła na dobre i wesoło — dwóch przy stoliku z kawą, którą tymczasem fertyczna Niemeczka pod gradem „perskich” spojrzeń przyrzadziła — trzeci, zawsze jeszcze na poduszce, w grubym, nocnym negliżu.

.

Tak jest, przyjaciółmi byli — a przynajmniej nazywali tak siebie wzajemnie. Znali się od dzieciństwa — a oto historia tej przyjaźni.

Przed laty piętnastu mniej więcej, do klasy 2-ej ryskiego gimnazjum miejskiego wprowadzono maleńkiego hrabiego Stasia, ładne dziecko, w szafirowem, marynarskiem ubraniu, jasnych pończochach i lakierowanych trzewikach.

Koledzy przywitani go dzikim wrzaskiem i od razu, z zapalem godnym lepszej sprawy, jeli się gotować do sprawienia mu „chrztu,” czyli regularnego odłomotania, przez co, mówiąc nawiasem, każdy nowowstępujący, dla upamiętnienia tego wielkiego dnia, przechodzić musiał.

Ale młode hrabiątko nie dało sobie byle czem zaimponować: pierwszego, który się do niego wziął, kopnęło w brzuch sposobem „francuskim,” drugiego „z angielska” zboksowało, trzeciemu „po naszemu” gębę obilo, czwartego zaś swojsko „sprało;” byłoby jednak w końcu uległo przemocy, gdyby nie nadspodziewana pomoc.

Oto, gdy przyparty do muru malec, opędział się rozpaczliwie roznamiętnionej zgrai dzieciaków, z drugiego końca sali zbliżał się ku niemu zwolna, pięściami torując sobie drogę, śniady, chudy, ale muskularny chłopaczek, o czarnej, „z murzyńska” gęstej czuprynie.

„Walił” dobrze, bo kędy machnął, tam ktoś koziołka fikał przez ławkę—sprytniejsi zaś ustępowali mu z drogi.

Wkrótce Staś i „Murzyn” stanęli naprzeciw siebie oko w oko.

W klasie zapanowało milczenie; słyszeć tylko było sapanie zziających dzieciaków i ciche szepty gdzieindziej, w rodzaju:

— Ten mu dopiero da łupnia!

— Oho! pokaże mu on, gdzie pieprz rośnie!

— „Murzyn,” ten go po „afrykańsku” odłomocze!

Ale „Murzyn” nie zdradzał jakoś zamiaru łomotania; stał sobie przed małym hrabiątkiem i z uwagą mu się przypatrywał.

Stasiowi po raz pierwszy dusza, tak napół, poszła w pięty; ponurym wzrokiem zmierzył swego czarnego przeciwnika, który go o pół głowy przewyższał i rozpaczliwie pracował mózgiem nad jakimś nowym fortem dla zwalczania tego „Longina...” gdy nagle ten wyciągnął do niego rękę i spokojnie zapytał:

— Polak jesteś?

— Polak! — brzmiała odpowiedź.

— Jak się nazywasz?

— Staś Konnor.

— A ja Władzio Dudrewicz. Koledzy przewalili mnie „Murzynem” i ty mnie tak zwać będziesz — mówił, ciągnąc z litewską. — Dobrześ się spisał. Ty się tym Szwabom nie dawaj, a jak któremu nie zdołujesz, to mnie na pomoc zwij!

I poprowadził go tryumfalnie w głąb klasy.

Dokoła zaczęto szemrać:

— Jaki? Tak, bez „chrztu” puścić?!

— Niesłychane rzeczy! Zwyczajowi nie stało się zadość!

Zwłaszcza zaś ci najmniejsi, zupełnie maleńcy, rozpaczali, że ich minęła niezwykła uciecha, bo to przecież „kolosalna frajda” móżdżek tłuc i kopać ko-

goś leżącego, nad którym już dziesięciu się pastwił

Ale nie było rady, kogo „Murzyn” wziął w opiekę, ten był uratowany.

„Murzyn,” syn dzierżawcy ze Żmudzi, był w samej rzeczy bardzo silny, stanowczo najsilniejszy w klasie; przytem bardzo poczciwy, chociaż nie bardzo sprytny chłopak.

Ale kto tam w przyjaźni sprytu szuka! Mały hrabia był mu wdzięczny, że go wyciągnął z kabały — i tu ich przyjaźni początek.

Wkrótce „Murzyn” i Staś zajęli między kolegami wybitne stanowisko: pierwszy imponował siłą, drugi sprytem i fortelami.

Gdzie chodziło o spleatanie figła, lub wybrnięcie z trudnej sytuacji — tam Staś był jedyny. Dla nauczycieli stał się z czasem prawdziwym utrapieniem, mólem, który ich gryzł. Czego on z nimi nie wyprawiał! Dokuczyć umiał genialnie! a zawsze tak jakoś szczęśliwie dla siebie, że go rzadko na czemś przyłapać zdołano; był swego rodzaju Napoleonem na polu pletania figłów.

Upłynął rok.

„Murzyna” z niezłą cenzurą promowano do klasy trzeciej — i Staś, chociaż się nie uczył, jakoś się do niej „fuksem” dostał. Takie już miał szczęście ten chłopak; zdolny był, w lot wszystko chwycił — nad czem „Murzyn” godzinami ślęczał, to on sobie w kilka minut przyswajał.

— A niechajże ciebie! — z mocnym akcentem na „aj,” mawiał mu nieraz Dudrewicz — jaką ty piekielną masz pamięć.

Biedak pocił się, mozolił, a tamten — jak z nut wszystko czytał!

W trzeciej klasie do pary tej zbliżył się mały Bolek Zdziarski, gruby blondynek, o jasnych oczach, zwykle grzecznie uśmiechnięty, trochę polityk — z takich, co to na dwóch krzesłach siadywać lubią. I on między kolegami odegrywał już pewną rolę; trzecia klasa nie znała się jeszcze na polityce, a on — już kombinował. Syn zamożnych rodziców, dobra szlachta, parę wsi na Litwie, trochę pretensyi do wielkości.

Bolek sobie wykombinował, że taka przyjaźń ze Stasiem i Murzynem, to rzecz bardzo praktyczna, i tak umiał manewrować, że wkrótce pozyskał ich względy.

Odtąd tych trzech widywano wszędzie razem.

W czwartej klasie mały hrabia zaczął marzyć o miłości i — papierosach; zwierzył się z tem przed Bolkiem, ten się przyznał, że już o tem oddawna myśli, więc po kilku ciężkich próbach, brzemiennej w fatalne skutki, które o mało nie złamały ich młodzięczego zapału do tego sportu — nauczyli się palić.

Długo opierał się temu Dudrewicz; oświadczył stanowczo, że „kurzyć” nie będzie — ale gdy mu Bolek zrobił zarzut, że cygan dla przyjaźni dał się po-

wiesić, a on — nawet „marnego papierosa” wypalić się wzbrania, wziął to tak do serca, że po długich i ciężkich cierpieniach, nauczył się dym puszczać nie gorzej od innych.

Ten kombinujący Bolek potrafił wszystko wytłumaczyć. Opowiadano o nim, że gdy miał lat 4, bał się ogromnie ubogich. Matka, chcąc ten jego strach przewyciężyć, kazała mu raz zanieść jałmużną jakiemuś kalece, ale Bolek się rozplakał i za nie polecenia wykonać nie chciał. Zaczęła mu więc tłumaczyć, że takich niegrzecznych dzieci, które biedaków wspierać nie chcą, pan Jezus nie lubi i nie wpuści ich do nieba, gdy z czasem do wrót jego zapukają — a malec na to z całym spokojem i chmurą na czole rzekł:

— Ja tam chodzić nie będę!

Murzyn przeciwnie — ten nie nikomu nie wmaślał, a sam najzawilsze kwestye „po swojemu” zawsze tłumaczył. Charakteryzuje go pod tym względem fakt następujący:

Miał jedną słabą stronę — był ogromnie łakomy: cukru, konfitur, owoców, jednym słowem, wszelkich słodocy, w które obfituje zazwyczaj wiejska spiżarnia, nie można było przed nim nigdy dość starannie schować; wszędzie musiał wleźć, wszystko wyszperać, wszystkiego spróbować. Obrywał też za to niemożliwe ciągi od ojca, i w końcu (jedyny bodaj raz w życiu) „wykombinował,” że jeżeli te jego manipulacye w tak przykry sposób mają się kończyć, to stądnowczo lepiej im dać pokój.

Nim jednak jeszcze w umyśle jego myśl ta zbawienna dojrzeć zdołała, spostrzegł on kiedyś (miał wtedy lat parę zaledwie) na oknie w pokoju jadalnym u rodziców flaszeczkę, pełną jakiegoś ciemnego płynu; pokusa zbyt wielka, żeby się jej oprzeć można było! Pracując więc w pocie czoła, udało mu się przytransportować krzesło do okna, po którym — z narażeniem życia — wwindował się na nie i rozlokowawszy się po turecku, z miną zadowolonego znawcy zaczął powoli saczyć ów nektar. Wkrótce spostrzegł jednak, że ambrozja ta wcale mu nie smakuje, przez punkt honoru jednak widocznie, nie przestawał pić dalej, a płyn czarny (był to tylko — atrament!) ociekał mu po brodzie i plamił całego w niemożliwy sposób. Na to wpadła niańka. Zahuczalo, zafurczało w powietrzu i bohater nasz ani się obejrzał, jak się znalazł w kuchni nad dużą balią z wodą, między matką, niańką i całą falangą uzbrojonych w mydło dziewczek. Nie stracił jednak kontensu i gdy nim na wszystkie możliwe i niemożliwe obracano strony, z istic żmudzką flegmą powtarzał:

— A niechaj jego!—jaka gorzka likarstwa!

Poczem wyczyszczono go zewnątrz i „przeczyszczono” wewnątrz.

W domu rodziców jego niemiłosiernie kaleczono język polski, a jego stara niańka, typowa Żmudzinka, nawiasem mówiąc, ogromnie do niego przywiązana, rwała pod tym względem pierwsza do

mety. Ztąd głównie u niego powyższy kwiecisty styl.

Mentorem jego pod tym i wielu innymi względami był również niejaki Ławcewicz, stary leśniczy z sąsiednich dóbr księcia Oczyńskiego. Oto niektóre próbki:

Matka, która przepadała za swym jedynakiem, lubiła się nim nieraz popisywać w towarzystwie, chociaż, prawdę mówiąc, niebardzo było czem, bo „Władzińka” sprytem nigdy nie grzeszył. Otóż na jednym z takich popisów pyta go któraś z sąsiadek pani Dudrewiczowej:

— Powiedz, Władzińka, kimby ty chciał być?

— Ja? kuczerem—albo Jan Sobieski!

Ogólne zaciekawienie.

— A kto to Jan Sobieski?—zapytują go.

— On był król polski i pana Ławcewicza chrzestny ojciec.

Wesołość; Ławcewiczowi było bowiem Józef na imię.

Innym znów razem zapytał go ktoś:

— Kto ty jesteś, Władzińka?

— Polak!

— A co to takiego Polak?

— To, mówił pan Ławcewicz, ksiązę Józef!

— A zkadże on był Polakiem?

— Bo on utopił się razem ze swoim koniem w rzeku.

Gorzej mu szło z odgadywaniem szarad. Ten sam sławny Ławcewicz, chcąc się widocznie popisać swym uczniem, zadał mu raz publicznie następującą łamigłówkę:

Pierwsze — „wą,” drugie — „sy,” wszystko pod nosem, oblane sosem; co to takiego?

Chłopak długo myślał i palcem w nosie kombinował, aż w końcu z tryumfem zawołał:

— Musi szparagi!

Od uszczęśliwionej matki dostał za to ogromną porcję chleba z miodem, ale Ławcewicz przez długi czas był niepokieszony.

— Musi nie to sprytne, co sprytne, ale to, co się komu sprytnem wyda — odburknął pani Dudrewiczowej, gdy ta, smarując miód na chleb, odpowiedź syna do tej pierwszej zaliczyła kategorii.

I mały Staś miał swoją historję, a raczej historijkę, w której się zarysował, jako przyszły pogromca serc niewieścich.

W czasie, gdy zaczął brać lekcyę religii, zapytała go któraś z ciotek, chcąc się przekonać o postępkach siostrzeńca:

— Stasieczku, mon enfant, co było na początku, nim Pan Bóg świat stworzył?

— Ewa była! — odpowiedział malec bez namysłu.

„Das Ewig Weibliche” pociągało go już wówczas — a że to się działo w dużem mieście więc słowa małego Stasia powędrowały wnet z niezmierną szybko-

ścią i w różne mniej lub więcej dowcipne przybrane komentarze—z ust do ust, z salonu do salonu, z buduaru do buduaru i t. d., i t. d.

Ale wróćmy do rzeczy.

Z miłością przyjaciółom naszym szło gorzej.

Żeby odczuć ów czar miłości, trzeba się było zakochać, żeby się zakochać, trzeba było wynaleźć przedmiot miłości. Suszono sobie mózgi dość długo, wreszcie Bolkowi błysnęła myśl:

— A, lekcyje tańcu?!

— Brawo! genialna kombinacya!

Uzyskano wkrótce pozwolenie rodziców, poczem, naturalnie, wstęp na pensyę panny X., gdzie się te lekcyje odbywały i rozpoczęły się „czarowne chwile,” jak mawiał Staś.

Tylko biedny Murzyn miał znowu trochę kłopotów z ojcem, który z początku na lekcyje nie chciał zezwolić.

— Poco temu niedźwiedziowi się wyłamywać?— rzekł, gdy mu żona list syna, zawierający powyższą prośbę, pokazała — jemu za książką patrzeć, nie z dziewczętami hasać.

Po długich perswazyach zdołano go wreszcie przekonać, że przecie „dla edukacyi” syna potrzeba, „żeby syn czasem zatańcował.”

Po lekcyach tańca rozpoczęły się wieczorki tańcujące. Staś szalał. Wstępnybm bojem podbił odrazu masę panieńskich serduszek; zgrabny był, przy-

stojny, wesół, tańczył wyśmienicie—panienki za nim sznurkiem!

Bolek miał mniej powodzenia, bo, jak wiadomo, płeć piękna w „kombinacye” niezbyt lubi się wdawać; sprytny młodzieniec zmiarkował to jednak i był ostrożny, jak wytrawny dyplomata, uderzał tam tylko, gdzie był pewnym zwycięstwa. A więc i za nim wzdychano.

Najgorzej znowu powodziło się Dudrewiczowi. Zawsze trafił, jak kulą w płot, a że przytem był zlekka szpetny, tańczył jak małpa i dowcipem nie grzeszył, więc najczęściej i w płot nawet chybiał! Zadurzył się jednak, jak kot, w małej blondyneczce, która od niego oficjalnie uciekała, chudł biedaczysko, stracił kompletnie humor i tylko Szwabów w klasie prał za to mocniej, niż zwykle.

Wieczorem chadzał pod okna swej bohdarki i rzewnie a fałszywie nucił półgłosem pieśń, którą się był kiedyś od swej niańki nauczył:

„Barka już gotowa, czeka na nas dwojga,
A przysięgi słowa złączęm nas obojga!
A wieńc bondź wzajemnom,
To popłyniesz ze mnom...
Odplywaj! odplywaj! odplywaj-że ze mnon!”

To „odplywaj” z mocnym akcentem na „aj,” dziwnie tęsknego wyrazu nabierało w takiej chwili w jego ustach.

Atoli bez względu na tę czułą apostrofę, mała blondynka nietylko słów przysięgi, ale wogóle żadnego słowa nie chciała do niego przemówić.

Czas szybko mijał.

Wobec tańca i miłości, mały hrabia, z którego już zresztą tymczasem wcale okazały wyrósł młodzienc, coraz więcej zaniedbywał nauki i jeżeli jeszcze jednocześnie ze swymi przyjaciółmi przechodził z klasy do klasy, „zawdzięczał to jedynie swej kolosalnej pamięci, wybitnym zdolnościom i — fortelom.

Czego on bowiem nie dokazywał, wydając nauczycielom lekcye, do których się często zupełnie nie był przygotował — to przechodzi pojęcie zwykłego śmiertelnego gimnazysty! Tupet miał nadzwyczajny, wzrok — sokoli, który mu pozwalał czytać z książki, leżącej gdzieś hen, aż na trzeciej ławce, a słuch — Indyanina, którym chwycił słowa, chociażby najciszej przez miłosiernych sąsiadów w krytycznych podpowiadane chwilach!

Kołnierzyki siedzących przed nim kolegów i jego własne mankiety roily się od dat historycznych i matematycznych formułek, a ławka i stół, przy którym siedział — od monogramów, kunsztownie rzeźbionych w drzewie, ognistych poetycznych cytat i serc—przeszytych strzałami!

Niezawsze naturalnie i stale służyło mu szczęście. Najgorzej bywało, gdy go który z „potworów”

(takim mianem w chwilach złego humoru obdarzał swych nauczycieli) wyzwał do tablicy. Wówczas hrabiatko traciło fantazyę. Konieczność nieubłagana oddalała go bowiem w takim wypadku od pocziwej zgrai kolegów, a lokowała natomiast w bezpośrednim sąsiedztwie bezwzględnego potwora. Wówczas, jeżeli szczęśliwy traf stawiał go u złowrogiej tablicy przy końcu lekcyi, sprytny chłopak tak długo kręcił, mazał i plótł piąte przez dziesiąte, aż go wreszcie dzwonek, zwiastujący pauzę, od tej męki wybawiał, nim jeszcze oszołomiony nauczyciel zdołał nabrać pojęcia, czy on w samej rzeczy coś umie, czy też genialnie zagaduje; ale we wszystkich innych wypadkach blamaż najczęściej bywał kompletny.

Inaczej Bolek; ten wprawdzie pierwszym w klasie również nie bywał, ale ponieważ sobie wykombinował, „że nauka w życiu zawsze przydać się na coś może” — więc uczył się nieźle, bez zbytecznego wysiłku i niedospanych z tego powodu nocy, bo toby zdrowiu zaszkodzić mogło — ale zupełnie w miarę, tyle, ile potrzeba było, żeby iść naprzód i wzbogacać powoli swoją skarbnicę wiedzy.

Murzyn wreszcie — ten już z natury był bardzo pilny — od czasu jednak swej nieszczęśliwej miłości, stał się podwójnie pracowitym; miał w tem widocznie jakąś myśl ukrytą, z którą się przed nikim nie zdradzał, której jednak domysleć się nie trudno!

Tak więc każdy rok posuwał ich o jedną klasę wyżej, aż przyszedł wreszcie czas zdawania na patent.

Murzyn wypocił się i wymęczył za wszystkie czasy — i zdał dobrze; Bolek pracował umiarkowanie — i zdał nieźle; Staś tańczył, jak zwykle — i obciął się.

Przy pierwszych egzaminach jako tako mu jeszcze poszło, ale zahaczył się na egzaminach z historii, bo nie miał przed sobą „historycznych kołnierzyków” swych kolegów, a zabiła go geografia, o której miał zawsze nader słabe pojęcie, a do egzaminów nie był się wcale przygotował.

Wiedział wprawdzie, że słońce stoi, a ziemia się obraca, znał głównejsze miasta i rzeki Europy o Azji coś słyszał, głównie z powodu chińskiego muru i herbaty, Amerykę poznał z opisu kilku podróży, które kiedyś przeczytał — niektóre kołnierzyki i mankiety przypominały mu jeszcze trochę Australię z dawniejszych czasów, ale o Afryce nie miał już najmniejszego pojęcia!

I fatalny los chciał, żeby na bilecie, który przed egzaminem z geografii wyciągnął, jak byk wyraźnie stało napisane:

„Rzeki, jeziora i wyspy a-fry-kań-skie.”

Piorun nie byłby go w tej chwili więcej prze-
raził!...

Tyle wody!

„Pływał” wprawdzie wyśmienicie, ale wypłynąć nie mógł.

Zaczął coś bąkać piąte przez dziesiąte, ale bardzo niefortunnie: zamiast mówić o wodach, zagrzebał

się w piaskach Sahary, lecz i o niej jakieś iście „afrykańskie” opowiedział historye, w końcu zupełnie stracił głowę, wpadł na małpy, o murzynów potrącił— aż wreszcie dał za wygraną.

Komisya nauczycielska, złożona z trzech „potworów”, kręciła głowami, uśmiechała się pod wąsem i jednogłośnie orzekła, że Stanisław Konnor *pojęcia nie ma* o przedmiocie, z którego zamierzał zdać, w celu otrzymania świadectwa... „dojrzałości.”

II.

Sławny ów egzamin miał miejsce w końcu maja.

Po upływie letnich miesięcy Zdziarski i Dudrewicz wstąpili do ryskiej szkoły politechnicznej, obaj na wydział agronomiczny, gdyż obaj mieli w przyszłości na roli pracować — biedny zaś Konnor, jak niepyszny, powrócił do gimnazjum.

Ubodło go to nadzwyczaj, bo chociaż Bolek i Murzyn nie zrywali z nim bynajmniej stosunków, upokarzał go jednak niezmiernie fakt, że oni już byli prawdziwymi, niezależnymi pod każdym względem od nikogo studentami — on zaś... tylko gimnazystą.

Murzyn odwiedzał go, jak zwykle, był dla niego równie, a może nawet więcej serdecznym, niż dawniej, gdyż odczuwał to upokorzenie przyjaciela i chciał mu je, o ile możliwości, złagodzić.

Bolek stał się wprawdzie nieco chłodniejszym, bo nie widział, jakieby korzyści, on, student, mógł ciągnąć z przyjaźni z gimnazystą, ale przewidując, że najwyżej za rok pozycje ich znowu się zrównają, nie palił za sobą mostów, owszem, zmuszał siebie do pewnych serdecznych nawet pozorów, a robił to tak zręcznie, że się Staś na tych pozorach nie poznał.

Rok ten dla biednego Konнора był rokiem prawdziwej męki, ale wpłynął na niego o tyle dodatnio, że przez czas ten zdołał on nieco spoważnieć, zaczął się dość pilnie uczyć, przysiedziało fałdów i w końcu zdał maturę nietylko dobrze, ale nawet z pewnem odznaczeniem.

Dudrewicz i Zdziarski rozejrzeli się tymczasem w swoich studiach agronomicznych, pozdawali po parę egzaminów i wstąpili do jednej z polskich korporacji studenckich. Po roku już witali Stasia w swym gronie — co to była za radość! co za humory świetne!

Na bibie, urządzonej po oficjalnem przyjęciu nowych członków do korporacji, między którymi figurował i Stanisław Konnor, strąbili się wszyscy trzej aż do białości.

Staś szalał znowu, odzyskał swój złoty humor i jednał sobie przebojem powszechną sympatyę; Murzyn, którego i tu inaczej, jak „Murzynek” nie nazywano, już o drugiej po północy ścisnął w swych olbrzymich ramionach i wycałowywał wszystkich bez

wyjątku, najwięcej zaś Stasia, oraz dowodził również wszystkim, czy go kto słuchać chciał, czy nie chciał, że „grafy, to walny i bitny naród” — tylko Zdziarski, chociaż mu się porządnie ze łba kurzyło, ani na chwilę nie tracił przytomności, a czułości swe skierowywał wyłącznie w stronę tych, bez różnicy stanowiska i pochodzenia, których mu polityka jego specjalną czułością otaczać nakazywała.

Najwyżej zatwierdzone ryskie związki studenckie miały swą odrębną organizację, swych urzędników, swoją radę, czyli t. zw. koło, z którego łona rekrutowały się znowuż najrozmaitsze komisye i podkomisye, jako to: sądowa, naukowa, towarzyska etc., urządzały zebrania naukowe i towarzyskie, łączyły ze sobą młodzież, przybywającą nieraz do Rygi na te kilka lat studyów z odległych i różnych stron, wyrabiały w niej poczucie honorowości; zachęcały do kształcenia się i zdobywania specjalnej wiedzy, niosły pomoc materyalną mniej zamożnym członkom; na swych wzorowo prowadzonych zebraniach i posiedzeniach uczyły młodzież parlamentaryzmu i pewnej systematyczności, uczyły podporządkowywać osobiste zdania zdaniom większości — starały się jednym słowem wyrabiać z niej ludzi, którzyby potem w życiu stać się mogli pożytecznymi członkami społeczeństwa, a przede wszystkim — być takimi pragnęli.

Na posiedzeniach koła, jako też i ogólnych ściierały się nieraz zdania ostre i gorące, ale rzadko kiedy przekraczały granice przyzwoitości towarzyskiej i parlamentaryzmu (w dawnem naturalnie tego słowa

znaczeniu), a kto regulamin przekroczył, ten bywał za to pociągany do odpowiedzialności.

Na posiedzeniach naukowych miewało się odczyty, dysputowano, formowano zdanie; na towarzyskich tryskał zwykle humor i dowcip, nieraz niezrównany, często wprawdzie rubaszny, ale taki otwarty i szczery i odważny, jakim był ówczesny duch prawdziwego „bursza.”

Poruszanie na posiedzeniach kwestyj politycznych i religijnych — było zasadniczym paragrafem wzbronione.

Takie mniej więcej były zasady tych związków i myśl założycieli, która w nich tkwiła — praktyka, jak każda praktyka, nie zawsze zdołała trzymać się ślepo teorii.

Zarzucano im niejedno, zwłaszcza w czasach późniejszych, zarzucano głównie, że absorbując zbyt wiele czasu i myśl młodzieży, odciągały ją tem samem od pracy fachowej w politechnice, zarzucano, że jednego lekkoducha zgubiły doszczętnie, dając mu częstą sposobność i chętnych zawsze towarzyszków zabawy i hulanki — ale zdania tego rodzaju, które chociaż co prawda nieco słuszności po za sobą miały, grzeszyły jednak najczęściej przesadą, lub też wygłaszane bywały przez osoby, o istocie korporacyjnej najmniejszego nie mających pojęcia.

Cel bowiem i zadanie, to jedno, wykonanie — drugie; cel związków był i pozostał zawsze szczytnym, wykonanie tylko nieraz szwankowało, albowiem

jest ono zależne od chwilowego osobistego składu korporacyi, od jednostek.

Kto z natury był lekkomyślnym, a miał jeszcze przytem żyłkę do hulatyki, ten w Rydze i w Dorpacie, który pod tym względem prawie jedno z Rygą stanowił, prędzej być może, niż gdzieindziej, marniał, bo mu się tu sposobność do hulanki łatwiej i częściej nastroczała; chociaż i ten zarzut jest w gruncie rzeczy tylko pół-zarzutem, albowiem znana jest rzeczą, że kto nie uznaje potrzeby pracy, kto cel życia jedynie w używaniu widzi, ten sposobność ku temu i chętnych towarzyszków wszędzie z łatwością znajdzie.

Stanisław Konnor był z usposobienia lekko-
duchem.

Najlepsza w gruncie rzeczy natura, niepospolicie bogata, serdeczna, gorąca i wybitnie szlachetna, z dużym zasobem idealizmu i marzycielstwa, ale mocno zmysłowa, jakimi przeważnie bywają natury idealistów, a przy tem wszystkim — absolutny brak woli.

Ten jego brak woli graniczył już prawie ze stanem chorobliwym.

Wpływowym był szalenie, zapalał się ogromnie łatwo, ale ten jego zapal, o ile gwałtownie wybuchał, o tyle też szybko gasł.

Wytrwać, na swoim postawić, przewyciężyć trudności — treść tych wyrazów stawiała się dlań coraz więcej obcą, im dalej posuwał się w życie.

I on również zapisał się na wydział agronomiczny — miał przecież odziedziczyć ogromną fortunę w ziemi.

Z początku nawet dość pilnie uczęszczał na wykłady, rozpoczął praktykę w laboratorium chemicznem, zdał kilka egzaminów—i dzięki swym zdolnościom zdał je bardzo dobrze — ale czynił to wszystko głównie pod wpływem poczciwego Murzyna, który go poprostu pchał w tym kierunku.

Po roku już jednak wpływ Murzyna zaczął słabnąć, albowiem przeważać zaczęły inne, którym się chętniej poddawał.

Wpadł w towarzystwo paru podobnych sobie lekkoduchów, którzy już oddawna nic innego nie robili, tylko ustawicznie hulali, i ani się spostrzegł, gdy powoli dorównał im pod tym względem; a że był bogaty, wesoły i niewyczerpany w conceptach, więc tamci lgnęli do niego coraz więcej i dostawszy go raz, ani na chwilę od siebie nie puszczali.

Pił więc, hulał, grał w karty, tracił niezmiernie na kobiety, które za nim przepadały—a następstwem tego były długi i powolny upadek sił fizycznych i duchowych.

Zdolności jego szły na marne; dawniej czytywał dużo, bo bystry jego umysł ciąglej potrzebował strawy, dziś i to zaniedbał — po za użyciem jakiegoś dziwnego lenistwo i ospałość zaczęły go ogarniać.

Czuł sam, że się zaniedbuje, widział dokładnie, jak pod względem odczytania i wykształcenia ci, któ-

rych dawniej o wiele w tym kierunku przewyższał, powoli się z nim równali i, postępując, chociaż zwolna, ale ustawicznie naprzód, z czasem pozostawiali go po za sobą: czuł, że dziś już przodować nie może i nie potrafi, czuł, że grzęźnie w szarej masie jednostek przeciętnych, a nawet ujemnych, on, który do niedawna jeszcze do wybitnych należał, ale jednocześnie prawie ogarniała go jakaś dziwna niemoc—i mówił sobie w końcu:

— *Eh! vogue la galère!*

Czasem tylko, gdy po przebumlowanej nocy budził go koło południa Murzyn, powracający z wykładów (mieszkali bowiem razem) i robił mu nieraz ostre, chociaż zawsze z serca płynące wymówki, rozpoczynające się od sakramentalnych słów:

— Ej, kochanieńki! coś z tobą, zdaje się, kiepsko...

Włosy mu powstawały na głowie, wymyślał sobie od ostatnich i obiecywał poprawę.

— *Cher'ciu*—mówił w takich razach do Dudrewicza—ja wiem, że ze mnie łotr, gałgan i szubienicznik; ale z drugiej strony, przecie młodość ma swoje prawa, piwo wyszumieć musi!

Murzyn zwykle na to smutnie kiwał głową i tylko raz zdobył się na koncept:

— Żebyś go tyle nie pił, toby i szumieć nie potrzebowało!

Ale poprawa i żal trwały krótko i po paru dniach biedak wracał do dawnych nałogów.

Po wstąpieniu do korporacyi zwrócił odrazu na siebie uwagę kolegów—rokowano mu „przyszłość” w gronie młodzieży, nazwano „dobrym nabytkiem”, „siłą”, mówiono nawet, że jest w nim materiał na przyszłego prezesa stowarzyszenia, ale w miarę jak miesiąc upływał po miesiącu, ginął powoli ów materiał, a zostawał jedynie z kolei, najpierw „sprytny fuks”, potem „wesoły chłop”, wreszcie „pocziwy facet”, a w końcu—„bumler.”

Murzyn gryzł się tem, lecz nie dawał za wygraną.

Jego głównie agitacyi i usilnym staraniom zawdzięczał Staś, że go przyjęto do koła, nim się jeszcze ostatecznie opuścił, dano mu nawet jakiś mniej znaczący urząd w stowarzyszeniu, ale już dalej w karierze się nie posunął; był tylko przez czas długi „mistrzem śpiewu”, to jest kształcił chóry studenckie i dyrygował niemi na zebraniach, gdyż znał się na tem i ładny posiadał głos.

Za to Zdziarski, dzięki swym wrodzonym zdolnościom do polityki, nie odrazu wprowadzić, ale powoli robił karierę.

Zbliżał się przeważnie do tych z kolegów, którzy już w stowarzyszeniu pewną wybitniejszą odgrywali rolę, lub do takich, co do których przewidzieć można było, że ją kiedyś odegrają, a zapatrywania swoje, zasady i teorye życiowe, wygłaszał pod hasłem ideałów, którym ogromna większość młodzieży hołdowała, a więc: równości, pracy, tolerancyi, wyno-

szenia osobistych zasług nieco kosztem tradycji rodowych i t. p. Czynił to jednak o wiele częściej z wyrachowania, niż z przekonania, a dla nadania swemu zdaniu pozorów większej szczerości, demonstrował je obrazowo na żywych przykładach, jakieśmy to już wyżej zauważyć mogli.

I tak np. dla wykazania, iż jest tolerantem *par excellence*, ścisnął i wyciął wywał na zebraniach koleżeńskich najmniej pociągających kolegów mojąszowego wyznania, a czynił to z pozorami takiej szczerości, tak był dla nich w danej chwili wylany, że zyskiwał sobie odrazu ich sympatyę i — naturalnie głosy.

Manewrował więc nasz polityk nie najgorzej: jednym schlebiał, innym doradzał, trzecich protegował, oburzał się na czwartych, ale zawsze w miarę, nigdy tam, gdzie nie trzeba... i tak powoli opanowywał sytuację.

Był zresztą dość wykształcony i czytany, posiadał pewien dowcip, interesował się wszystkim, pracę w politechnice traktował poważnie, sprawy stowarzyszenia obchodziły go żywo, dość, że koledzy zaczęli się zwolna za nim oglądać i Bolek Zdziarski ani się spostrzegł, jak awansując z urzędu na urząd, został w końcu prezesem stowarzyszenia.

Dopiął celu—szczyt marzeń osiągnięty!

Murzyn został nieznacznie zdegradowany do rzędu tych, których Zdziarski protegować raczył.

Za czasów gimnazyalnych rej wodził, bo się odznaczał siłą; tu siła nie imponowała, więc pocziwy nasz Murzyn zmieszał się z tłumem.

Zdziarski byłby go może chętnie puścił zupełnie kantem, ale polityka mu nie pozwalała zobojętnieć widocznie dla kolegi, z którym od dziecka w przyjaźni wzrastał, byłoby to bowiem dziś jeszcze zbyt rażące zerwanie; więc dla tej polityki jedynie pozwalał sobie i nadal uważać za przyjaciela Murzyna.

A pocziwe murzyńskie serce nie odczuło tej zmiany, nie przypuszczając wcale jej możliwości.

Gorsza sprawa była z Konnozem: ten z biegiem czasu psuł sobie opinię u kolegów i w końcu już nawet krzywo patrzono na tych, którzy z nim trzymali.

Ale Konnor był arystokratą czystej krwi, a przeto dziedzicem ogromnej fortuny w przyszłości—potęgą swego rodzaju!

Jakże tu z nim zrywać?!

Nie zrywał więc z nim Zdziarski bynajmniej, udając, że go nawraca, odciąga od przepaści, w którą ten dobry, ale słaby chłopak gwałtem skacze i t. d. i t. p.

W gruncie rzeczy jednak tyle go obchodziła moralna strona Stasia, ile wogóle wszystko, co nie było nim samym, lub nie dotyczyło jego osoby, *mais les apparences étaient sauvées...* a oto mu tylko chodziło.

Tak upływały im lata studyów — złote czasy!
dobre czasy!

Krew gorącą czuło się w żyłach, a w piersi serce, co młotem biło — jakże różowo patrzyło się w świat i jak naiwnie wierzyło ludziom!

Dobre czasy! pełne snów o promiennej przyszłości, karmione poezją i wiarą w egzystencję ideałów!

Biedę klepało się nieraz, a smutki duszę gryzły — ale to wszystko znosiło się lekko, a nieraz i z humorem, bo się czuło dokoła bicie przyjaznych serc i wierzyło podszeptom nadziei:

— To tak teraz — przetrwaj — potem lepiej będzie!

Lżej się wbiegało po kilka razy na dzień na trzecie i czwarte piętra, niż w życiu późniejszym na dywanami wyściełane schody „*belle étage'ów*.”

„Młodości! podaj mi skrzydła!” mówiło się w takich wypadkach, a młodość, jak ptak, rwała „nad poziom!”

Takie typy, jak Zdziarski, wyschłe, przedwcześnie dojrzałe, spotykało się stosunkowo dość rzadko wśród młodzieży.

Los rzucił je gdzieś między bujne swe łąny, aby dać im niejako przedsmak późniejszego życia — ale duch większości był młody, w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Późniejsze dopiero lata, lata pracy o kawałek

chleba, lata walki o byt, warzyły te pąki młodociane, a dusze—zamieniały w maszyny.

Dudrewicz i Konnor, jak się rzekło, mieszkali razem, ale Konnor bywał najczęściej gościem w domu; za to Murzyna, który od niejakiegoś czasu nie podwoił, ale potroił niemal swą pilność i siedział poprostu cały w chemii, technologii i t. p. mądrościach, można było zawsze zastać.

Zwykle po parę razy w tygodniu odwiedzali go wieczorami koledzy, bo pocziwe Murzynisko cieszył się ogólną sympatyą.

Z czasem nawet te „afrykańskie herbatki” nabrały pewnego rozgłosu.

Kasa Murzyna nie odznaczała się nigdy obfitością, to też—wedle stawu grobla—i herbatki jego były ogromnie wodniste.

Ale że szczerem sercem dzielił się tem, co miał, więc odwiedzano go dla niego, nie dla przyjęcia i na pogawędce spędzano czas wyśmianie.

Czasem i Konnor wpadał na takie herbatki i kiedy był „przy flocie”, przywracał splendor domowi i przyjęciu, kiedy zaś i jego kasa pustkami świeciła — poddawał się z pokorą murzyńskim porządkom.

Kiedyś powrócił do domu wcześniej, niż zwykle, bo koło 1-szej w nocy i zastał moc kolegów; przyjęcie miało się ku końcowi.

— Murzynku, nalej-no mi herbaty, bo mi się strasznie pić chce—prosi Dudrewicza.

Ten, zajęty jakimś opowiadaniem, z całą flegmą nalewa mu — wody z imbryczka, do tej wody znowu — wody z samowara i podaje taką „herbatę” flauszowi, jednocześnie — z pustą cukiernicą. Staś zajrzał mu w oczy i również z całą flegmą wypłukawszy cukiernicę gorącą wodą, wlał ten „cukier” w „herbatę” i zasiadł do picia.

Koledzy, którzy się tej niemej scenie z uwagą przypatrywali, parsknęli śmiechem—i odtąd „murzyńskie herbatki” zyskały sobie rozgłos w całym studenckim świecie.

Jedną pasję miał Murzyn, której się z zapamiętałością oddawał—a tą był fechtunek.

Jeszcze w gimnazyum będąc uprawiał ten sport ze szczególnem upodobaniem, obecnie zaś każdą niemal wolną chwilę poświęcał ćwiczeniom w tym kierunku.

Nie opuścił żadnego dnia, ażeby się w południe na kwaterze studenckiej choć przez chwilę nie po-fechtować, czytywał książki, traktujące o tym sporcie, kombinował nowe cięcia, wymyślał parady i finity, wiódł na ten temat zaciekle dysputy z wybitniejszymi szermierzami świata studenckiego—jednem słowem: przepadał za tym sportem!

Białą bronią studentów ryskich był rapier; to

też przeważnie w robieniu tą bronią, uprawiał się nasz sportsmen, chociaż i o szabli pamiętał.

U studentów Polaków wpływ szabli odbił się w pewnej mierze i na sposobie robienia rapierem.

Nie brakło wprawdzie wyśmienitych fechtistrzów, czyli „paukantów” między Niemcami i Rosyanami; ale rapier w ręku Niemca siedział więcej sztywno, ruchy jego były nieraz ostre, ograniczone, albo wyrzucane (znamienne tej broni), podczas gdy w ręku Polaka—mowa tu naturalnie wyłącznie o dobrych paukantach — bratał się on z szablą, zataczał koła szerokie i zamaszyste, kreślił linie faliste; było w nim więcej rozmachu, więcej tego „Hej!”, co wesoło od stepu z wolnej płynie piersi.

Dudrewicza można było zawsze o pewnej porze dnia zastać na którejkolwiek ze studenckich kwater w sali fechtunkowej, z podkasanym rękawem u prawej ręki, w długiej, skórzanej rękawiczce, hełmie lub masce na głowie i rapierem w ręce.

Z czasem doszedł on do pewnego rodzaju perfekcyi w tym sporcie.

W stowarzyszeniu piastował przez czas dłuższy urząd „mistrza fechtunków”, a pokolenie „fuksów” przez niego wyszkolone—z małymi wyjątkami—odznaczało się wielką sprawnością w robieniu rapierem.

W szerokich kołach studenckich znano Murzyna

wszędzie jako dobrego paukanta, to też niechętnie z nim zadzierano. On też rzadko dawał pierwszy powód do sprzeczki; cichy był z natury i spokojny, nikomu wody nie zamącił, tylko za swych przyjaciół, gdy zachodziła tego potrzeba, ujmował się zawsze bez wahania i namysłu — a potem, gdy czasem miał w głowie, gdy mu się po jakiej wesołej libacyi ze łba kurzyło, gwałtownie poszukiwał jakiego „krzyżaka”, któremu by — jak się wyrażał — mógł „trochę krwi utoczyć.”

Stawał się wówczas ponury i prawie dziki i gdy mu się w podobnej chwili jaki Niemiec podwinał — awantura zwykle była gotowa.

Dawniej w gimnazyum „prał” z upodobaniem „szwabów”, obecnie z wiekiem wyrażał się cywilizowanej, „szwaba” zamienił na „krzyżaka” i już go „nie prał”, ale „krew z niego toczył.”

Do rzeczywistego rozlewu krwi rzadko jednak dochodziło.

Wedle praw studenckich żaden pojedynek nie mógł się odbyć bez uprzedniego sądu honorowego; na sądzie strona obrażona nie zawsze otrzymywała wybór broni, a i w wypadkach cięższej obrazy, dawano zawsze wybór między bronią i odpowiednio zre-dagowaniem oficjalnem przeproszeniem; szanowano przytem osobiste zapatrywania jednostek na sprawę pojedynków w ogólności.

To też zatargi z Murzynem kończyły się naj-

częściej pokojowo, po części dlatego, że powód do sprzeczki bywał w nich zwykle błahy i obraza nieznaczna, po części dlatego też—ponieważ niejeden z jego przeciwników wybierał przeproszenie miast broni, nie chcąc robić ze swej skóry doświadczalnego pola dla różnego rodzaju kombinowanych i niekombinowanych murzyńskich cięć; Murzyn poprostu zbyt dobrze się fechtował, a przy swej wrodzonej olbrzymiej sile, był wprost niebezpiecznym przeciwnikiem.

Parę razy ścierał się jednak nasz bohater na ostre (zawsze z Niemcami) i w rezultacie utoczył nieco krwi krzyżackiej.

Na temat ten drażnili go nieraz koledzy, a Konnor rzekł mu raz tak:

— Ja cię, kochańsiu, podejrzewam, żeś ty na wzór Podbipięty i jego trzech sławnych tatarskich łbów, ślubował jakiej białogłowie utoczyć trzy wiadra krzyżackiej krwi. Bo że ty, *cher'ciu*, do jakiejś spółniczki wzdychasz, to rzecz pewna — inaczej nie siedziałbyś tak cały w książkach i nie byłbyś tak moralnym przedewszystkiem—Murzynku!

Staś się śmiał, a Dudrewicz ponsował, jak burak, pośepniał i powtarzał tylko:

— Daj pokój, daj pokój...

Komu innemu byłby zabronił takich aluzyj do spółniczki, ale Staś miał swoje specjalne prawa.

Był do niego wprost fanatycznie przywiązany...

Swój trzeci i ostatni pojedynek miał z jego powodu.

Rzecz miała się tak:

Było to w czasie, kiedy się Murzyn przygotowywał do egzaminu z chemii organicznej; przedmiot trudny i obszerny, praca szła mu niełatwo, ale oddawał się jej, jak zwykle, zapamiętając; zaniedbał nawet po części fechtunek dla chemii i jak dawniej z rapierem w rękę, tak obecnie nie widywano go inaczej, jak z grubą książką pod pachą, na której zdaleka już widniał napis: „*Lehrbuch der organischen Chemie von... etc.*” Kolegów chemików i agronomów zanudzał rozmowami o tym przedmiocie, a zapał swój w tym kierunku posuwał tak daleko, że nieraz w towarzystwie, osobom niemającym najłżejszego pojęcia o tem, co to wogóle jest chemia, wykladał godzinami o węglowodanach i t. p. mądrościach. To też uciekano w końcu od niego, jak od zapowietrzonego, a Staś Konnor znowu go zsienkiewiczzył:

— Roch Kowalski — rzekł mu raz — gdy sobie zapruszył, zwykł był mawiać o sobie i swojej szabli: „Ja jestem Kowalski — a to pani Kowalska!” — ty *cher'ciu*, zastosuj to do swej chemii: „Ja jestem Dudrewicz — a to: pani Dudrewiczowa!”

I słowa Konнора poszły znowu w kurs.

Otóż, wracając do rzeczy, siedzi sobie Dudrewicz pewnego pięknego dnia nad panią Dudrewiczową i „obkuwa się” — aż tu wpada Staś, jak bomba, do mieszkania.

— *Cher'ciu!* krachnąłem się!

— Gdzie?! Z kim?!

— Wczoraj w nocy—w „Café-Monopol”, z tym... no, jakże się nazywa... aha! z tym Bergnerem, znasz go przecie?

— Znam, pyszny paukant!

Tu Staś opowiada mu całe zajście.

— Musisz mi sekundować, Murzynku — kończy wreszcie.

— Rozumie się, kochanieńki; tylko ty jemu nie zdołujesz, bo to gracz—nielada!—odpowiada Murzyn, który chętnie używał takich wyrazów, jak „gracz”, „mistrz”, „rębacz”, „szermierz” i t. p. I zafrasował się srodze o los przyjaciela, który fechtował się nieźle, ale się ani umył pod tym względem do owego Bergnera.

Pojedynek miał się odbyć za dwa tygodnie.

Przez cały ten czas Murzyn niezmordowanie uczył Stasia najrozmaitszych cięć, parad i fint — im bliższym był jednak dzień spotkania, tem mocniej się niepokoił, gdyż sam, fehmistrz nielada, widział słabe strony Konнора i ogromną nad nim przewagę Bergnera, z którym—jako w samej rzeczy wyśmienitym rębaczem—nieraz się po przyjacielsku, na tak zwanych „Rapier-jungach”, czyli próbnych pojedynkach—próbował; gryzło go to tembardziej, że Bergner—był krzyżakiem.

Nadszedł wreszcie ów dzień fatalny.

Około godziny 12-ej w południe, z całą paradą

i pompą, które charakteryzują rapierowe „menzury”, czyli pojedynki studenckie, rozpoczął się i ten w obszernej fechtunkowej sali stowarzyszenia, do którego należeli Konnor i Dudrewicz.

Przez czas jakiś losy się ważyły, ale w piątym starciu puścił Bergner błyskawiczną, ciągniętą kwaterę w kierunku arteryi „axillaris”, poprzedzoną nie znaczną fintą na tercyę, której Konnor nie sparował. Cięcie było krótkie, ale głębokie i krwawiło mocno. W szóstym starciu znowu nic, w siódmym zaś Konnor, który już był mocno wyczerpany, dostał znowuż drugie cięcie w ramię.

Doktór przy opatrunku wpakował mu naogół dwanaście szwów.

Dudrewicz był niepokieszony.

Na knajpie pomenzurowej podchmielił sobie nieco i zaczął złowrogie rzucać spojrzenia w stronę Bergnera, ale się pohamował, bo mu nie wypadało robić burdy gościowi na kwaterze własnego stowarzyszenia.

Przez parę następnych dni chodził, jak struty, a co dziwniejsza — rzadko pokazywał się w domu.

Aż dopiero po tygodniu wrócił kiedyś nad ranem rozpromieniony, po przebumlowanej nocy Konnor spał jeszcze.

— Stasieczku — były jego pierwsze słowa — jak się wyliżesz z ran, będziesz mi sekundował!

- Co znowu?!
 - Reisałem!
 - Czego?! Z kim?
 - Z Bergnerem!
- Staś szepnął:
- Waryat!

Ale się odwrócił do ściany, żeby pokryć wzruszenie, które go opanowało.

A po dwóch tygodniach ta sama sala, w której się potykali Konnor z Bergnerem, była wypełniona studentami, którzy przybyli dla przypatrzenia się ciekawej menzurze między tym ostatnim a Dudrewiczem.

Obaj wybitni szermierze, znani jako tacy w szerokich kołach studenckich i obaj — nielada siłacze.

To też zaciekawienie było ogromne.

W sali gwarno, jak w ulu; przy gęsto krążącym piwie gorące rozprawy na temat: który z przeciwników ma większe szanse zwycięstwa; na twarzach obecnych maluje się to ciekawość, to nerwowe wzruszenie, to znów zblazowanie i fanfaronada.

Aż oto nagle wszystko milknie.

Z dwóch stron otworzono podwoje, a w nich, przybrani w kolorowe oznaki swych stowarzyszeń, z rapierami o takichże barwach w ręku, ukazują się dwaj, sekundanci, mających się za chwilę potykać przeciwników.

Z butnemi minami wchodzą na salę, mierzą dystans, oglądają czy wszystko w porządku — i wychodzą.

Bezstronny zajmuje swe miejsce; cisza jeszcze większa, gdzieś tylko szepty lub lekkie chrząkania dla pokrycia mimowolnego wzruszenia; ciekawość wzrasta.

Wtem obok słychać stapania i oto na salę wchodzi Bergner ze swą asystencyą. Tęgi jest i wysoki, mina pewna siebie, zuchowata, zachowanie się nieco wyzywające. Stał na przeznaczonem dla siebie miejscu i wsparty zlekka na ramieniu towarzyszącego mu „Szlep-fuksa” — czeka.

W tej chwili we drzwiach przeciwległych ukazuje się Dudrewicz ze swem otoczeniem. Porusza się z istic żmudzką flegmą, szeroka jego postać kiwa się nieco na tęgich nogach, zdrowie i siła aż buchają od niego, a oczy, patrzące „wilkiem,” każą mimowoli sądzić, że ten, „kiedy zahaczy, to i w grobie nie przebaczy.”

Przeciwnicy oddali sobie zwykły ukłon, a w tej samej chwili bezstronny rozpoczął swą, uświęconą zwyczajem przemowę, mającą, między innemi, na celu nakłonienie przeciwników do zgody, podczas której Konnor, jak gdyby na złość tym formułkom, umocowywał chełm pojedynkowy na kudłatej głowie Murzyna, a sekundant Bergnera spoglądał w sufit i pogwizdywał zcicha. Przemowa się skończyła, sekundanci z urzędu powtórzyli swoje — i nagle szyb.

kie, krótkie a ostre rozległy się słowa niemieckiej komendy:

— *Bindet die Waffen!*

— *Gebunden sind!*

Partnerom i sekundantom dusze powłaziły w oczy, pochylili się nieco, odsadzili...

— *Der Gegenpartner haut—aus!*

I Bergner ciął...

Dudrewicz odbił i ciął... rozległ się suchy szczęk rapierów, kilka szybkich cięć jedno po drugim—i nagle:

— *Halt!*—komenda sekundanta.

Dudrewicz miał przeciętą rękawicę.

Zamiana miejsc -- i znowu komenda i znowu po kilku błyskawicznych niemal cięciach komenda sekundanta:

— *Halt!*

Koszula na ramieniu Dudrewicza zaróżowiła się nieco.

— Psia krew!—zaklął.

A sekundant jego, Konnor, spostrzegłszy tylko lekkie draśnięcie, rzucił mu półżartem:

— Nie urągaj sobie!

Doktór szybko zatamował krew, poczem znowu zamiana miejsc i jazda dalej!

Twarz Murzyna aż się skrzywiła od zaciętości, usta miał zaciśnięte, duże wąsy, jak wiechy sterczały mu z pod hełma, a oczy błyskały, jak u wilka.

Bergner, zachęcony powodzeniem, ostro nacierał, więc przeciwnik jego głównie parował i cofał się powoli pod ścianę.

Widzowie z rosnącym napięciem śledzili dalszy przebieg pojedynku.

Nagle, jako repostę, na zamaszystą dolną kwartę partnera, puścił Dudrewicz błyskawiczną „cyganekę;” było to cięcie, które sam onego czasu wykombinował, „cyganka” ochrzcił i w zastosowywaniu którego celował. Ryzykownem, bo ryzykownem było, albowiem w razie odbicia przez przeciwnika, odsłaniało całutenką pierś i narażało na niechybną i pewną repostę, ale zato, kiedy siedziało, to siedziało tak, że się na tem zwykle pojedynek kończył. Bergner nie sparował, a cięcie szło od góry z taką siłą, że aż się zatoczył.

Rozległo się krótkie, ostre:

— *Halt!*

— *Halt!*—sekundantów —i już doktor stał przy Bergnerze.

Jak powiew wiatru po łanach zboża, przeleciał szmer lekki po sali, a potem wielka zapadła cisza. Bergner, wsparty na ramieniu „Szleppfuksa,” stał blady i ciężko oddychał. Koszula na piersiach jego, pod szyją począwszy i dalej w dół na ukos, była szaroko rozwarta i szybko nasiąkała gęsto ociekającą krwią, którą doktor gorąco tamował. Na twarzach kolegów jego malowało się zmieszanie, współczucie, niezadowolenie.

A naprzeciwko Konnor szeptał do Murzyna, który się temu z jakąś drapieżną przypatrywał rozkoszą.

— No, teraz to rzeczywiście „psia krew,” ta sama, co się na psiem polu lała.

A ten na to szybko się odwrócił, spojrzał w oczy przyjaciela, zaciętość w jednej chwili zniknęła mu z twarzy i rzekł miękko:

— To za ciebie, Stasieczku!

Doktór długo jeszcze opatrywał ranionego, który bladł, zieleniał i widocznie tracił siły, aż w końcu orzekł, iż pojedynek należy uważać za skończony, albowiem partner Dudrewicza do dalszej walki nie jest zdolny.

— *Mensur ex!*—huknął bezstronny.

W sali zaszumiało, jak w ulu, a słowo „Abfuhr,” „Abfuhr” podawano sobie z ust do ust.

Bergnera wyniesiono niemal z sali, a Murzyn, na którego twarzy, pomimo, iż się starał tego nie okazywać, malowała się szalona radość — odbierał, tryumfator, serdeczne powinszowania kolegów. Zańczyła to wszystko biba, na której Murzyn i Staś strąbili się, jak nieboskie stworzenia i dopiero trzeciego dnia rano słońce, co przez spuszczone rolety dyskretnie zajrzało do wnętrza ich mieszkania, zastało ich nareszcie w domu, spoczywających snem sprawiedliwych.

Ale wstydlive słońce cofnęło się czempredzej, przerażone widokiem tego kawalerskiego mieszkania

i czerwone ze wstydu biegło ku leśnym pagórkom i łąkom zielonym, dokąd daleko jeszcze po falach eteru gonił je senny głos Stasia:

— Sułtana to szczęśliwy los, fal-le-rah!

Ostatni ten pojedynek zaimponował mocno Zdziarskiemu; zaczął też na Murzyna z nieco większym spoglądać respektem. Sam on nie lubił się narażać i miał pewien wstręt do wszystkiego, co kraje, lub kaleczy; zresztą od tego był politykiem, żeby się ze wszystkich trudnych sytuacji bez szwanku dla siebie wydostać. To też te nieliczne honorowe sprawy, które miał, zakończyły się wszystkie pokojowo. Ale, bądź co bądź, wykombinował, że przyjaźń takiego Żmudzina, który, panie dobrodzieju, w razie potrzeby tak dokumentnie potrafi ludziom skórę odłuszczać i to nie byle chłystkom w dodatku, zawsze się na coś przydać może — i stał się znowu nieco czulszym dla Dudrewicza; a ten pocziwiec brał to za dobrą monetę i w ogień gotów był leżeć dla niego!

Tak, tak zwana „przyjaźń” w życiu bywa nieraz pasożytem w sercach naiwnych pocziwców, a gdy z nich serdeczną krew wyssie, jak w owej bajce, pisze na grobach „baran.” Ta przyjaźń — to nierządnicą: oddaje ci się, pókiś bogaty, szczęśliwy; ale niech ci się noga powinie, wówczas bądź zdrów, przyjacielu! Ludzie nie zdają sobie z tego nieraz sprawy, kto jednak nieco baczniej wejrzał w panujące na świecie stosunki, ten przyzna, że jak zależnie od pory roku, miewamy okrycia letnie, jesienne, zi-

mowe, tak też bywają i przyjaciele od „dobrych,” „letnich” i „ciężkich” czasów.

Długo jeszcze w kołach studenckich mówiono o tym wspaniałym pojedynku, aż powoli zagłuszyły go nowonapływające fale ruchliwego studenckiego życia; a Murzyn, syt chwały, zawiesił miecz na ścianie i wziął się znowu do pani Dudrewiczowej.

Obkuwał się całymi dniami i nie pokazywał nigdzie. To też wielkie było zdziwienie kolegów, gdy pewnego dnia zjawił się koło południa na kwaterze w towarzystwie Konнора w stanie, który kazał się domyślać przebytej „trzydniówki.”

Konnor oznajmił wnet wszystkim „smutny,” jak się wyraził, ewenement, że właśnie trzy dni temu Dudrewicz zdał egzamin z chemii organicznej, w następstwie czego *eo ipso* musiał się rozstać z panią Dudrewiczową, co było naturalnym powodem, że przez trzy dni zalewał robaka.

Wiadomość tę przyjęto z entuzjazmem i znowu, naturalnie, oblano, wskutek czego po upływie paru godzin zaczął gwałtownie szykować nową wyprawę przeciwko Krzyżakom.

Widząc, na co się zanosi, niemal przemocą odwiózł go do domu, gdzie kazał mu się pojedynkować z Morfeuszem, który go w końcu pokonał.

Nazajutrz obudził się z paskudnym „Jamerem;” przez cały dzień chodził, jak struty, jadł śledzie i popijał „selterkę” — ale na trzeci dzień wziął się

znowu do roboty i odtąd już prawie co parę tygodni, jak z rękawa, sypał egzaminy.

A Staś, ku wielkiemu zmartwieniu tej pocziwej duszy, dotychczasowego trybu życia nie zmienił. Do pracy się nie brał, niczem poważniejszym zająć się nie chciał, kiedy miał pieniądze, znikał najczęściej z domu i hulał, a gdy gotówki zabrakło i kredyt na razie się wyczerpał, legiwał całymi dniami w łóżku z francuskim romansem w ręku.

Humor i wesołość nie opuszczały go jednak nigdy.

— Czego ty się właściwie spodziewasz, tak leżąc?— spytał go raz w takiej chwili, zaniecierpliwiony tą jego beczynnością Murzyn.

— Fortuny!— odpowiedział spokojnie.

Innym znowu razem, gdy brak monety zanadto mu już dokuczył, a nastąpiła taka susza, że nawet zastawić nie było co, zaczął raptem, leżąc w łóżku, zapamiętale wygwizdywać jakieś walce własnej kompozycji.

— Wiesz co?— zwrócił się w końcu do Murzy-
na, ślęczącego nad książką — pójdę, zagwiżdżę im to i zastawię!

Prześladowca Krzyżaków udał, że nie słyszy, ale w końcu parsknął śmiechem; po chwili jednak nawrócił na poważne tory i zaczął długo i szeroko mówić o pracy i obowiązkach wogóle, o zadaniach, jakie kiedyś w przyszłości będzie miał do spełnienia dziedzic takiej fortuny, jaka Stasiowi miała przypaść

w udziale; mówił coś jeszcze o ziemi, o pracy na roli, o łączności i jakichś „placówkach...” a Staś leżał i gwizdał—i myślał... o tej Violi z Café-Monopol, co takie fiołkowe ma oczy i usta—takie gorące!

Nie było rady! Biedny Murzyn posepniał, machał ręką i brał się znów do książki.

Tak upływał rok po roku.

Tymczasem po latach czterech Zdziarski zdał z odznaczeniem na dyplom i żegnany serdecznie przez kolegów, opuścił Rygę. Wyprawiono mu wspa-
niałą pożegnalną knajpę, ofiarowano bogaty upominek; mów było dużo, a wszystkie ciepłe, podniosłe — on sam, gdy dziękując przemawiał i zapewniał, że pamięć wspólnie przeżytych czasów wśród złych, czy dobrych kolei życia zachowa niezatartą w swej duszy—zdawał się być mocno wzruszonym; potem ścisnął i całował wszystkich bez wyjątku długo i serdecznie. A gdy wreszcie na dworcu kolei, w chwili gdy pociąg ruszał, tłum kolegów huknął mu „pieśń pożegnalną..” miał łzy w oczach; czy były to łzy szczerzego żalu, czy też łzy dyplomaty, któremu nie wypadało nie wzruszyć się w podobnem położeniu—trudno osądzić, dość, że z obecnych nikt go w danej chwili o to ostatnie nie posądział.

Zabawiwszy czas krótki u rodziców na wsi, udał się do Berlina z zamiarem wysłuchania niektórych jeszcze wykładów przy tymczasowej akademii rolniczej.

Nowe miasto, nowe warunki zajęły go z po-

czątku mocno, ale po upływie paru miesięcy zaczęło mu się cnić za dawnymi kolegami, za dawnym życiem, pełnem złotych wspomnień, za swem schłodnem, wdzięcznem, w majowej zieleni skapanem miastem nad Dźwiną, w którem przeżył tyle dobrych lat swego dzieciństwa i pierwszej młodości i ani się spostrzegł, jak on, samolub, on, egoista, list po liście zaczął posyłać do Rygi z prośbą o wiadomości i nowiny ztamtąd. Bo każdy egoista w zaraniu swojej młodości ma gdzieś na dnie swej duszy jakiś kąt cieplejszy, jakąś grządkę, na której bezbarwne może i liche, ale, bądź co bądź, wyrastają jeszcze jakieś „uczuc kwiaty;” dopiero późniejszy wiek niszczy i te doszczętnie. Między innemi namawiał mocno Konнора, żeby go odwiedził w Berlinie.

Stasiowi tego dwa razy nie trzeba było powtarzać. Wprawdzie za granicą bywał już nieraz, a Berlin znał, jak swą kieszeń, ale myśl zabawienia się nieco dla odmiany nad Szprewą, zamiast nad Dźwiną, uśmiechała mu się niezmiernie. Ubzdrzył sobie jednak, że tym razem bez Dudrewicza nie pojedzie i męczył biedaka niemiłosiernie namowami w tym kierunku. Z inicjatywy Stasia zachęcał go i Zdziarski listownie do tej podróży, ale Murzyn, który zagranicą nigdy nie był, oburzał się na samą myśl, żeby pierwszy jego wyjazd miał mieć to „szwabskie” miasto na celu. Staś jednak nie dawał mu spokoju i póty go dręczył, męczył, prosił i błagał, aż się pewnego dnia biedny Murzyn znalazł w wagonie i w mo-

cno ponurem, co prawda, usposobieniu, ruszył ku pruskiej stolicy.

Pod wpływem jednak złotego humoru Stasia, oblicze jego zaczęło się zwolna wypogadzać, a Niemieccy „Schaffnerzy” oglądali już tylko uśmiechniętą i mocno zaciekawioną twarz naszego poczciwego Żmudzina.

W ten to sposób podróżni nasi znaleźli się w berlińskim mieszkaniu Bolka Zdziarskiego i przygotowali mu ową chłodną kąpiel, od której się niniejsze opowiadanie rozpoczyna.

III.

Berlin dał się Żmudzinowi mocno we znaki. Z początku przebąkiwał coś wprawdzie o „rozumnem” poznawaniu miasta, które się poraz pierwszy ogląda, ale Staś ani chciał słyszeć o czemś podobnem.

— *Cher'ciu!* to na potem, na potem — błagał go niemal — życie długie, Berlin odwiedzisz nieraz jeszcze; dziś oddaj się pod moją wyłączną komendę, ja ci go pokażę ze strony wesołej, ty wiesz: *Wein, Weib und Gesang...* Murzynku! jeśli mnie choć troszeczkę kochasz.

Żmudzin opierał się:

— Przecież ja nie mogę, jak pierwszy lepszy idyota.

— Możesz, możesz — przerywa mu Staś — nic ci się nie stanie! Murzynku, przecież i ty masz w żyłach krew, nie wodę! Tam do licha! Czyżes ty już do reszty skapcaniał?!

I zaczął go ścisnąć i prosić, aż się biednemu

Żmudzinowi w samej rzeczy zawróciło w głowie i w końcu przystał na wszystko.

— Tybyś mnie jeszcze i z grobu do knajpy wyciągnąć potrafił—mruknął niewyraźnie.

— Bo w Mazurze taka dusza.

— Jak się urźnie, to się ruszał—zanucił wesoło Staś na nutę znanego mazurka.

Murzyn ruszył za towarzyszami, ale po drodze, nieprzejeżdżany, mruczał wciąż jeszcze do siebie:

— Żeby po za pół-światkiem... świata nie widzieć, trzeba być pół-główkiem... trzeba...

Staś się nagle zatrzymał i spojrzał na niego uważnie:

— Murzynku, przechodzisz sam siebie; co za głęboka filozofia!

A Bolek dodał cichutko:

— *Si tacuisses...*

Lecz nie dokończył, bo „głos polityka” szepnął mu w tej samej chwili:

— Jeszcze nie czas!”

.

Po paru dniach poznawania Berlina, wedle programu, ułożonego przez Stasia, kawalerskie mieszkanie Zdziarskiego przedstawiało istny obraz nędzy i rozpaczy.

Na jednym z łóżek pod ścianą leży sam wła-

ściciel apartamentu, blady, z jakimś piekielnie gorzkim wyrazem twarzy i głową owiazaną ręcznikiem; na drugim—Konnor, z nogami gdzieś na poręczy i papierosem w ustach, stękający, jak lokomotywa, ale pomimo to wszystko — wesoły. Na długiej kanapie pod przeciwległą ścianą, żółty, jak cytryna, wylega się Dudrewicz; bosa, olbrzymie nożyska, sterczące z pod krótkiej kołdry, opiera o krzesło, stanowiące przedłużenie legowiska — bo nawet niezwykle długa kanapa pomieścić go w całości nie może. Na stołach — słoiki, syfony, butelki i buteleczki, proszki, cytryna, śledź i t. d. Pomiedzy tem wszystkim, z nadzwyczajną zręcznością omijając różne większego i mniejszego kalibru przeszkody, których pokój jest pełen, krząta się różowa, fertyczna i uśmiechnięta służąca „Gustel”—biega wciąż od jednego ze stękających do drugiego, zmienia kompresy na głowach, niesie ratunek w formie śledzia lub cytryny—najdłużej jednak, pod najrozmaitszemi pretekstami, zatrzymuje się przy bladym i pięknym Stasiu, odpowiadając wesoło na jego zaczepki i szczerząc do niego w uśmiechu białe, jak mleko, zęby.

*Wenn ich in deine Augen seh,
Vergeht gleich all' mein Leid und Weh!*

Deklamuje Staś z nieco komicznym patosem i tak czaruje dziewczynę, że w końcu Zdziarski odwołuje ją trochę cierpkim tonem i pod rozmaitemi pozorami nie puszcza już prawie od siebie.

— Istna siostra miłosierdział — śmieje się Staś.

— A tybyś pragnął zostać — szwagrem... miłosierdzia...

— Nie miałbym nic przeciw temu!

— Ale ja...—burknął Zdziarski, tak jednak cicho, że tego Staś nie dosłyszał.

Milczenie.

— Jednak tę aktorkę, ten mój typ, to piekło ucieleśnione—ja muszę poznać!—woła nagle Staś głosem ogromnie stanowczym.

Milczenie.

— Ja ją poznać muszę!—powtarza i rzuca Murzynowi na kołdrę niedopalonego papierosa.

Murzyn strzepuje go i odpowiada z olimpijskim spokojem:

— Poznawaj...

— Ja ją muszę poznać!! — pieni się już prawie Staś.

— Zresztą poco? — odzywa się po pewnym namyśle Dudrewicz — masz tu przecie Gustel, a tobie wszystko jedno jaka, byle kobieta — dodaje z lekką ironią w głosie.

Zdziarski rzuca mu spojrzenie najjadowitszej ze żmij i ratując sytuację, zwraca się do Stasia z udaną wymówką w głosie:

— No, i powiedz mi, mój kochany, czemuś mi o tem wcześniej nie wspomniał? Pejutrze występuje

w „Aidzie,” *im Königlichen Opernhaus, unter den Linden...* zobaczylibyśmy ją na scenie, no—a potem, jakoś tam...

Staś podniósł się na łóżku.

— Idziemy na „Aidę!”

— Zapóźno, nie dostaniemy biletów, chyba gdzieś bardzo wysoko.

— Nie może być!

— Ale napewno; niema rady, zapóźno...

— Możebyście zaproponowali wasze usługi, jako... statysci—drwi Murzyn.

Mileczenie.

— Pyszna myśl!—woła potem Staś.

— Pyszna myśl!—powtarza—wynajmujemy się jako statysci, odrazu wstęp na scenę, prezentacya, bliższa znajomość, kolacyjka, szampan, ten.. tego... pyszna myśl! Murzynku! doprawdy, ty się nie wyhodujesz.

Ten zwraca na niego zdziwione oczy.

— I ty to bierzesz na seryo?!

— No, zdaje się!

— Sfiksowałeś?!

— Nie — przeciwnie; tyś mnie rozumu nauczył!

Murzyn ściska pogardliwie plecami, odwraca się do ściany, wspiera na łokciu — i powoli, powoli... od tych butelek i berlińskich aktorek, przenosi się myślą w inne—zupełnie inne światy!

Daleko, daleko... w jakimś biednym, ale bardzo swoim i kochanym kraju, widzi drogę szeroką a piaszczystą, wiodącą przez duży, wysoki, sosnowy bór; wiatr lekko, miarowo kołysze wierzchołki drzew, słyszać nerwowe, urywane stukanie dzięcioła i dźwięczny, szybki, zajadły głos psa gończego.

— Zkądże? Przecie to nie czas polowań?

Eh!... pewnie jaki „Chwytaj,” czy „Wytrop,” znudzony zbyt długą bezczynnością swego pana, wybrał się samopas na polowanie i rwie po świeżych, zajęczych śladach, aż ziemia dudni!...

— A może brakonier? I to być może; nawet prawdopodobniejsze.

Za borem—łąki, rozległe, mokre, błotniste łąki; leniwie wije się przez nie strumyk, niby srebrny włos smutnej, znękaney przyrody; mostek przez drogę, z okrąglaków sklecony, parę mizernych krzaków wierzbiny, a dalej chatka niska, szara i druga, jeszcze mniejsza, tuż przy niej chlew, stajenka, płot, z chróstu pleciony, trochę kwiatów pod oknem i pies na uwięzi—to leśniczówka?

— Boże! jakie to mizerne! I czemu ja to wszystko... tak kocham?!

Potem droga zawraca, niemal pod prostym kątem; znowu las—a za nim łąny zielonego jeszcze życia, które wiatr lekko marszczy, i płoty, i wygony, i krótka aleja z topoli i zabudowania gospodarskie, i studnia z żórawiem, i gniazdo bocianie. Drogą pło-

tową wraca bydło do domu, podnosząc tumany kurzu — słyhać przeciągłe nawoływania pastuszków — parę dziewcząt z wiadrami krząta się u studni... opodal fornał naprawia coś u wozu... a tam dalej, z powodzi bzu, niby łabędź z fioletów wody, wyłania się dworek bielutki, z ganeczkiem o dwóch krzywych nieco kolumnach drewnianych i ławeczkami u boku.

Słońce stoi wysoko — i parzy — pewnie południe na świecie.

Cichutko otworzyły się drzwi białego domku, a w nim smukła, wiotka, o włosach białych, jak len, stanęła dziewczyna. Oczy zasłoniła dłonią przed żarem słonecznych promieni i jakieś tęskne a rozmarzone spojrzenie posłała ku onej drodze piaszczystej, co od boru wiodła.

— Czego ona... kogo ona tak wygląda? — myśli Murzyn i serce zaczyna mu bić gwałtownie.

— Boże, dla tej ziemi i na niej daj mi pracować — daj mi ją pługiem w bruzdy ciąć i rzucać w nią ziarno zdrowe! Boże! i taką... i tę dziewczynę u boku mego postaw... a Cię chwalić będę na wieki — Boże, zmiłuj się.

I pod wpływem tych myśli wyciąga gwałtownie ramiona — i zrzuca ze stołu, stojącego przy łóżku... syfon z selcerską wodą.

— Delirium? — pyta z przekąsem Zdziarski.

Murzyn zawija się w kołdrę i milczy.

A Gustel, ratując selterkę, dusi się ze śmiechu.

Tymczasem Konnor wszczyna znowu sprawę „Aidy,” do dyskusyi wciąga powoli Zdziarskiego i wreszcie Dudrewicza. Strony się zapalają, powstaje hałas, Murzyn oburza się i wymyśla od idiotów i błaznów, Zdziarski nieznacznie kłuje zjadliwą ironią — w rezultacie jednak zapada uchwała: dziś jeszcze, wszyscy trzej solidarnie proponują swoje usługi, jako statyści w „Aidzie.”

Murzyn klnie na czem świat stoi i rozpacza, że Stasiowi niczego nie jest w stanie odmówić — pogardza sobą z tego powodu.

Bolek jest w gruncie rzeczy rad, że potrafił odwrócić uwagę Stasia od swojej Gustel, ale zresztą i jemu rola statysty nie bardzo się uśmiecha; Staś za to jest w wyśmienitym humorze i obiecuje sobie sto pociech z projektowanej zabawy.

— Co za kobiety! Co za kobiety! — mówi głośno. — Jak ona musi całować... jak się przeginać w ramionach!...

I uśmiecha się zwycięzko do swych gorących myśli.

I w samej rzeczy tego samego jeszcze dnia nazwiska trzech naszych przyjaciół wciągnięte zostały do spisu statystów, mających za dwa dni wystąpić w „Aidzie”.

— Czy jednak panowie wiedzą — zapytano ich w końcu, po załatwieniu wszystkich formalności — że w razie niestawienia się na przedstawienie, bez po-

dania poważnych powodów, odpowiadają panowie sądownie?

Przyszli statyści spojrzeli na siebie zmieszani, po chwili jednak Staś wesoło zawołał:

— Ależ naturalnie... wiemy... wiemy...

I prawie przemocą wyciągnął za sobą dotkniętego tem do żywego w swej osobistej godności Zdziarskiego, oraz czarnego, jak noc, Murzyna.

.

Gdy w dzień przedstawienia „Aidy” Murzyn przetarł zrana senne oczy, ujrzał z niemąłą przykrością nad swą olbrzymią kanapą... afisz teatralny. To Staś, za pomocą Gustel, zgotował mu tę niespodziankę. Zerwał się na równe nogi i z miną ofiary, idącej na stracenie, rozpoczął, milcząc, toaletę.

Po chwili wyjrzał Zdziarski z pod kołdry, ale na widok afisza, wrócił pod nią szybko w milczeniu, odwrócił się do ściany i dnia tego spał o godzinę dłużej, niż zwykle—zbierał siły.

Staś obserwował te nieme sceny i dusząc się ze śmiechu, chodził dość politycznie... koło „miłosierdzia”.

Tego samego dnia wieczorem, na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia, trzech nasi bohaterowie byli już w teatrze, nadrabiając rezonem, dość butnie zameldowali się, jako statyści.

Obrzucono ich od stóp do głowy nieco szyderskim wzrokiem i oddano niebawem pod opiekę jakiejś niewyraźnej figury, która ich przez boczne, ciemne wejścia i moc wązkich schodów, zawiodła do pokoju, pełnego najrozmaitszych przyborów teatralnych, rozrzuconych w artystycznym nieładzie; leżały tu więc w masach nieforemnych całe stosy płaszczy rycerskich, trykoty, hełmy, pancerze, trzewiki, kapelusze z olbrzymiami pióropuszcami, broń z najrozmaitszych pochodząca epok i t. p. arcydzieła dekoratorów teatralnych.

— Jakie to wszystko wspaniałe na scenie, a zbliżka obrzydliwe — zauważył Staś, podnosząc ze stosu rupieci jakieś trykoty, mocno podejrzaney czystości.

— Jak w życiu—jęknął Dudrewicz — tyle rzeczy imponuje nam zdaleka, a gdy się im zbliżka przypatrzymy—przejmuje wstrętem!

Tymczasem przewodnik bacznie im się przyglądał.

— Pan—rzekł do Stasia — będziesz należał do orszaku króla Egiptu, zechcesz więc sobie wynaleźć odpowiedni strój.

I pchnął go w kierunku hełmów i mieczy.

— Pan—zwrócił się do Zdziarskiego—będziesz chorążym wojsk egipskich, powracających ze zwycięskiego boju z Etyopami pod wodzą Radamesa! — i wskazał mu—trykoty.

— A pan—tu począł od stóp do głowy lustrować Murzyna i obracać nim trochę bez ceremonii na wszystkie strony — a, owszem... bardzo dobrze, pan zechce pójść ze mną do dalszych pokoi.

I wyszedł.

Murzyn miał wielką ochotę poczęstować szwaba pięścią między oczy i wylecieć na ulicę, ale opanował się i wyszedł za nim.

Zdziarski i Konnor pozostali sami; przez chwilę stali bezczynnie i milczeli, poczem, ze wstrętem, zaczęli się zamieniać... w Egipcyan.

Nawet i Staś już się nie śmiał. Zdziarski czuł do niego urazę za tego rodzaju awanturniczy pomysł, a do siebie złość, że się na coś podobnego mógł zgodzić.

Po chwili salę zaczęły wypełniać najrozmaitsze indywidua, przeważnie dość podejrzanego pokroju, wszystko szczęśliwi kandydaci na przyszłych bojowników egipskich, kapłanów i t. p.

Zaczęło się robić duszno, gorąco, posypały się żarty niesmaczne, dowcipy trywialne. Biedny Zdziarski, wciśnięty w najokazalsze, jakie mógł znaleźć, ale na jego tuszę jeszcze zbyt wąskie trykoty, zziąjany, spocony, wsparty o sztandar z godłem białego wołu, trzymał się z godnością na uboczu, a w myśli okurzał skrzętnie swą tarczę herbową z pyłu, idącego od tego otoczenia.

Po chwili jednak, pomimo dość energicznego

oporu, jaki stawiał, zmieszano go z tłumem, a paru woźnych, czy coś w tym rodzaju, wepchnęło niebawem całą bandę w wązki, mizernie oświetlony korytarz, rozkazując wszystkim, bardzo stanowczym tonem, przypominającym nieco komendę wojskową, posuwać się coraz dalej i dalej. Zdziarski nietyle szedł, ile raczej dawał się unosić fali.

— Czego się dmiesz, jak... ropucha?!—usłyszał nagle nad sobą ostry basowy głos.

Wydało mu się, że się sufit nań wali; w pierwszej chwili miał ochotę lunąć poprostu w pysk właściciela owego basowego organu, więc się odwrócił, i ujrzał tuż... tuż nad sobą, ogromną, brodatą twarz egipskiego kapłana.

Błyskawicznie zatem skombinował:

— Cóż ja, marny chorąży egipski, znaczę wobec tej rozszalałej tłuszczy egipskiego ludu, który za zbezczeszczenie jednego ze swych kapłanów gotów mnie w kawałki poszarpać.

I dał pokój pierwotnemu zamiarowi, podyktowanemu przez szlachetne oburzenie; cierpiał niewypowiedziane katusze, ale ból ukrywał w sobie.

— Niech tłum tego nie widzi!

Tymczasem ów egipski kapłan zupełnie niedwuznacznie zaczął go przypierać do ściany.

— Mniejsza o lekki masaż — myślał waleczny chorąży — bo ten nie zaszkodzi, szkoda tylko tryko-

tów, które w ten sposób gotowe jeszcze w końcu wypowiedzieć posłuszeństwo—i żałował, że nie ma obok siebie Murzyna, którego towarzystwo przekładał w danej chwili nad wszystkie inne. Ale właśnie teraz, jak na złość, rozłączono go z tym kochanym chłopcem!

— O losie, losie, ironiczny losie!

Wtem tłum się zatrzymał, i chorąży nasz, ku niemałemu swemu przerażeniu, ujrzał, jak o kilka kroków przed nim, grymer teatralny, za pomocą niezwykłych rozmiarów pendzla i własnych rąk, zaczął szybko, kilku artystycznemi pociągnięciami nadawać twarzom egipskich wojowników charakterystyczne cechy afrykańskich ludów. Jak przez mgłę widział szybkie ruchy pendzla, potem, z pewną radością, operacyę, dokonaną na twarzy swego prześladowcy—kapłana, wreszcie i na niego przyszła kolej. Zdrętwiał, bryznięto mu farbą w twarz, kazano zrzucić pancerz i ofuknięto ostro, gdy tego w pierwszej chwili uczynić nie chciał, wreszcie obojętnego już na wszystko wypchnięto za innymi i kazano oczekiwać sygnału, aby na dany znak wymaszerować z całą paradą na scenę.

Gdy tak stał na uboczu, niezmiernie biedny i zgnębiony, pomimo całej swej egipskiej okazałości, wpółcieniu ukazał mu się nagle cały rój koleżanek-statystek. Zbudził się z zamyślenia i z najmiłszym,

na jaki się w danej chwili mógł zdobyć uśmiechem, ruszył ku nim.

Ale przywitał go homeryczny śmiech i krzyki:

— *Seht' mal diesen... Dicken da!*

Skamieniał, i przeklinając w myśli zaśnieżone mody egipskie, cofnął się z godnością pod białego wołu.

Stasiowi powiodło się względnie lepiej. Z kolegami-statystami stanął odrazu na przyjacielskiej stopie i zjednał ich sobie kilku udatnemi dowcipami, a koleżanki same poleciały na ładnego chłopca, którego strój egipski ładnie ubierał. Ale o zawiązaniu znajomości z prymadonną nie było mowy; odstawiono go, jako „statystę”, w dość brutalny nawet sposób na miejsce i dano przyjacielską radę, nie wścibiać nosa...

— Tak—pomyślał—głupio jest i niepraktycznie chcieć gwałtem włożyć w nieswoją sferę!

Przedstawienie już się było oddawna rozpoczęło, akt II-gi rozwijał się w całej pełni. Staś zaczął się już na dobre niecierpliwić. Przed chwilą próbował przyjrzeć się akcyi, rozgrywającej się na scenie, ale i tego mu wzbroniono i cofnięto „statystę” w cień; więc zły wsłuchiwał się zdala w namiętny, a dumą dyszący śpiew królowny Amneris, zwrócony do niewolnicy Aidy, która się odważyła kochać Radamesa; gdy nagle wstrząsnęły nim odgłosy trąb za

sceną. Między statystami powstał rwetes i Staś ani się obejrzał, jak przy odgłosie marsza bojowego i okrzykach ludu: „Cześć Egiptowi! Izydzie cześć!” wmaszerował na scenę w świetnym orszaku królewskim i zajął miejsce nieopodal tronu królewskiego.

Światło sceniczne, przeraźliwy odgłos trąb, niezliczona moc osób w strojach fantastycznych oszołomiły go z początku; zwolna ochłonął jednak z pierwszego wrażenia, rozejrzał się w sytuacji i utkwiał badawczy wzrok w pięknej niewolnicy Aidzie.

Tymczasem wojska egipskie, poprzedzane fanfara, przechodzą przed królem; za nimi naczynia święte, posągi bogów, sztandary... i nagle Staś czuje, że musi użyć całej siły woli, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Jeden ze sztandarów, z godłem białego wołu, dźwiga tłusty, spocony i nieprzytomny prawie Zdziarski; pozbawiony swoich pince-nez, nic nie widzi i potyka się co chwila; zmuszony, na znak czci, pochylić przed królem sztandar, czyni to, ale podnosząc, zaczepia o swego poprzednika i, tracąc równowagę, omało się nie wywraca, ściągając w dodatku na siebie ciche, lecz namiętnie silne przekleństwo tego ostatniego. W czasie tego król wita powracającego zwycięzko Radamesa, a Amneris wieńczy go wieńcem laurowym. Na dany znak — straż wprowadza jeńców.

Staś spojrzał; ma ochotę ryknąć ze śmiechu, ale nagle robi mu się smutno. Jednym z jeńców jest— Murzyn. Ogromnego wzrostu, wymazany na czarno, w stroju, który tylko w spiekocie egipskiego słońca może mieć rację bytu, jak noc listopadowa ponury, przedstawia w samej rzeczy przepyszny typ etyopskiego jeńca, którego twarz odzwierciedla tragedję przegranej oraz ból serca, szarpanego wstydem i ciężarem niewoli. Ale Murzyn jest bajecznie przybity tą swoją rolą jeńca. Staś rozumie, co go w tej chwili tak niezmiernie upakarza. On, Dudrewicz, szlachcic z dziada pradziada, zajadły „Żmudzin, ze swą nienawiścią do Krzyżaków”, musi tu, pośród nich, odgrywać rolę błazna, pozwalać się musztrować, narażać na pośmiewisko... i przykro mu się robi na myśl, że to on go w tę kabałę wpakował.

Akt II-gi ma się ku końcowi; wśród burzy oklasków spada zasłona i Staś całą pierśią oddycha:

— No, przecież!

Na tem się skończył występ jego i Dudrewicza.

Zdziarski musiał jeszcze przy końcu III-go aktu, gonić etyopskiego wodza Amonasro, który ze swą córką Aida, po wydaniu się zdrady Radamesa, ucieka. Pogoń tę wykonał z całą furią, jak przystało na wiernego poddanego Faraonów i o mało nie strącał za sceną nieszczęśliwego Amonastrę. Potem i tego sługę odpuszczono w spokoju.

Spotkali się, milcząc, przy kasie, gdzie każdemu z nich za fatygę wypłacono po dwie marki.

Zdziarski, oburzony, nie przyjął pieniędzy; Staś uszczęśliwiony, oddał je woźnemu, za co otrzymał grzeczne:

— *Besten Dank, Herr Baron!* — czego mu Bolek w duszy mocno zazdrościł.

Murzyn zaś wpakował najspokojniej krwawo zarobiony grosz w kieszeń i mruknął do siebie:

— Żeby te bestye miały jeszcze dwie marki na mnie zaoszczędzić! Niedoczekanie ich, podłe szwaby!

Milcząc wracali do domu; wreszcie Dudrewicz, jakby kończąc jakąś myśl, która przez czas dłuższy zaprzętała jego umysł, odezwał się półgłosem:

— Mniejsza zresztą o scenę... jednak taką głupią rolę statysty odegrać w życiu... to gorzej...

I szli dalej, milcząc.

W domu Zdziarski, mocno rozstrojony i zdenerwowany, ułożył się zaraz do snu. Murzyn przez godzinę co najmniej zmywał z siebie niewolnicze piętna, a potem również udał się pod opiekę Morfeusza; tylko jeden Staś przebrał się i czmychnął na miasto... szukać nowych wrażeń!

Nazajutrz Dudrewicz, żegnany dość chłodno przez „chorążego”, a wycelowany serdecznie przez Stasia, który go za swój wczorajszy pomysł przeproszał, wyjechał z powrotem do kraju.

Staś pozostał w Berlinie, żeby drogą mniej

awanturniczą zjednać sobie względy Aidy—no, a Bolek... tego obrażona godność krwawiła jeszcze przez czas długi, aż w końcu, dobrze już po wyjeździe Stasia, zbliżniła ją nowa znajomość w osobie młodego Niemca, barona Pirwitza, którego osobistym przyjacielem miał zaszczyt zostać.

IV.

Upłynęło lat kilka. Trzech przyjaciół rozdzielił los setkami wiorst przestrzeni, rzucił między nich moc kastowych przesądów i ostrą różnicę w pojmowaniu życia i jego obowiązków.

Zdziarski, na skutek nagłej śmierci ojca, powrócił z Berlina, objął w posiadanie pozostałe po nim rozległe dobra na Litwie i w tej nowej dla siebie roli „obywatela”, rozpoczął, wierny swym zasadom, „politykę” na wielką skalę.

Murzyn, po skończeniu politechniki, ruszył odrazu do ołtarza, przed który z bijącym sercem poprowadził ową blondynkę, do której jeszcze za czasów gimnazjalnych wzdychał.

Była to jego pierwsza miłość, której pozostał wierny przez cały długi czas studyów.

Dziewczyna, która się najpierw boczyła, skoro podrosła w lata i rozum, oceniła z gruntu pocziw,

szczerą naturę chłopca, jego zasady mocne, jak stal, i miłość dla niej wierną, gorącą i wielką, poddała się mimowoli, ze znamienem u kobiet uczuciem uległości, urokowi jego siły, zarówno fizycznej, jako też i moralnej, oddała mu rękę, i poszli razem w świat, drogą pracy i obowiązku, mając za drogowskazy: sumienie i ciepłą poezję swych młodych, rozkochanych dusz.

On od ojca otrzymał trochę grosza, ona—jedy-naczka — duży folwark na Żmudzi, więc zasiedli w nim sobie i on, zawołany gospodarz, ona—zawołana gospodyni—w imię Boże wzięli się do pracy.

Z początku nie szło to łatwo.

Jednak przy ogromnej oszczędności i skrzętnej, ścisłej rachunkowości, wiaźali koniec z końcem. Po-tem jemu — za pomocą szczęśliwego zastosowania sztucznych nawozów—udało się znacznie podnieść dochód z majątku; ona—korzystając z rad, nauk i wskazówek męża, zaprowadziła ład w gospodarstwie ko-biecem i urządziła wzorowo oborę — tak, iż po pewnym przeciągu czasu koniec z końcem wiaźał się już sam przez się i pewien dobrobyt nawet spłynął pod dach białego dworku na Żmudzi.

Zdziarski—chociaż proszony—na ślub Dudrewicza nie zjechał. Zato Konnor był, družbował, palnął siarczystą mówkę na temat „kochajmy się” i zjednał sobie swem serdecznem, niewymuszonym obejściem, serca ponurych Żmudzinów, którzy z początku

z pewnem niedowierzaniem spoglądali na młodego hrabiego z Korony.

Pannie młodej opowiedział ze wszelkimi szczegółami i dodatkami swej własnej kompozycji historię o trzech wiadrach krzyżackiej krwi, a Murzynowi przebaczyć nie mógł, że przez tak długi czas z afektów swych tak ścisłą robił przed nim tajemnicę.

— Wszystkiego trza się było domyślać!

— Kiedy bo widzisz—jąkał się trochę zakłopotany pan młody — ty, milińki, kiedy wesoły, to ze wszystkiego żartujesz; a na tym jednym punkcie jabym... nawet tobie żartować nie dał... więc wolałem milczeć... bo mi szkoda było... twojej przyjaźni...

Staś spojrzał nań uważnie.

— Hm... za kogo ty mnie masz?

— Za najlepszego człowieka i bardzo kochanego chłopca, ale ty... ale wy... dla dowcipu gotowicie nieraz zbyt dużo poświęcić.

Staś chciał odpowiedzieć — gdy do pokoju wszedł ojciec panny młodej i poprosił panów na wódkę.

Wódkal na wsi—a może w dodatku—starka?

Nie, tej się — nawet dla dowcipu nie poświęcał!

Staś ruszył... i dokonał cudu, bo rozruszał.. i przepił Żmudzinów!

Obiad, niezmiernie suty i obfity, w dodatku gęsto zakrapiany, trwał długo.

Pod wpływem alkoholu zaczęły się rozchmurzać ponure twarze żmudzkich obywateli i błęgiego nabierać wyrazu, języki się rozwiązały — w niewielkim pokoju jadalnym zrobiło się gwaro i gorąco.

A gdy po skończonym obiedzie barczyste syny żmudzkiej ziemi zaczęły sapać i dmuchać z zadowolenia — temperatura zrobiła się wprost niemożliwa.

Staś, z filiżanką kawy w ręce, zroszony perlistym potem, przeciskał się ku otwartym drzwiom od ogrodu, gdy przy jednym z bocznych stolików z cygarem, przy kawie, ujrzał otyłego szlachcica z kozią bródką, któremu — o ile mu się zdawało — nie był jeszcze prezentowany. Ostrożny pod tym względem do przesady, niechcąc nikomu uchybić, zbliżył się doń i grzecznie przemówił:

— Pozwoli pan, że mu się przedstawię: nazywam się Konnor.

Szlachciec powstał w całej swej okazałości, odłożył cygaro na bok i rzekł również grzecznie:

— Dziękuję!

— Niema zaco — podchwycił Staś, ubawiony i zaintrygowany takim początkiem i ciągnął z wielką powagą dalej:

— A jakżeż zdrowie żony szanownego pana dobrodzieja?

Szlachcie ani się zająknął odpowiadając, że właśnie z powodu „owego” paskudnego bólu zębów nie mogła przybyć na uroczystość ślubną.

Tu Konnor uważał za odpowiednie wyrazić szlachcicowi swoje gorące współczucie, które jaknajlepiej zostało przyjęte.

— No—a dzieci?

Małżeństwo było bezdzietne.

To gorzej.

— Ale... urodzaje?

— A niech lichy porwie! panińku mój — jaki kiepski rok!

I dopieroż konwersacya na temat urodzajów!

Młody hrabia Konnor, którego wódka była nieco rozmarzyła i którego z tego powodu zaczęła ogarniać senność, miał wrażenie, że mu ktoś budzik postawił nad uchem, a ten dzwoni, dzwoni—dzwoni bez końca, niemiłosiernie dzwoni!

— Od powietrza, głodu, ognia... i urodzajów, wybaw nas, Pani! — myślał zrozpaczony. — Więc jest jednak sposób na zatwardziałe milczenie Żmudzina! Och! czemużem o tem wcześniej nie wiedział!

Szlachcie przetrzymał go z dobre pół godziny, potem puścił napół żywego i rozpowiadał wszystkim, że równie szarmanckiego chłopca, jak ten młody graf z Polski, dawno już nie spotkał!

Wieczorem — tańce, które trwały aż do białego dnia...

Siarczyste żmudzkie hołupce zapisały się niezatartemi zgłoskami w podłogach białego dworku, a ściany jego długo jeszcze potem drgały tonami zawadyckiego mazura.

Wesoło było.

A po tańcach, nazajutrz, wyciągnięty na sianie obok Konнора, w odrynie — gdzie pokotem nocowała cała męzka młodzież — Murzyn, ze wzrokiem jakby skupionym w oddali na jednym jakimś punkcie—celu, tak kończył półgłosem swoje zwierzenia przed przyjaciелеm:

— Mając ją przy boku na całe długie i ciężkie zapewne życie, czuję się dwa razy silniejszym, lepszym, pewniejszym wygranej i prawie uśmiecham się do tej przyszłości, w której wiem, że niejeden zawód i dużo goryczy mnie czeka. Mój Boże! mieć ją przy sobie i koło roli tej chodzić—przecież ja tylko o tem przez całą młodość marzyłem!

Staś słuchał—i rozumiał, ale nie odczuwał tych słów.

— I czy wiesz, między innemi — dlaczego ona dla mnie taka miła?

— No?

— Bo to... Żmudzinka!

— Co znowu?!

— Widzisz... kochać możebym mógł i inną, ale ożenić się... tylko ze Żmudzinką!

— No i co tu wobec tego mówić—przerwał mu Staś — w każdym z was, pomimo pocziwych i nieraz szerokich nawet poglądów, tkwi jednak zaściankowy egoista!

— Może... ale to jest jedna z tych wad, z których się nie wyleczę, chociażbym nawet uznał potrzebę tego.

— I dlaczego?

— Bo na to... nie mam poprostu—sił!

Umilkli i wkrótce sen skleił im powieki.

Nazajutrz odbył się ślub, a potem Staś wyjechał.

Skorzystał jeszcze ze sposobności, aby odwiedzić na Żmudzi ks. Oczyńskiego, dobrego znajomego swych rodziców, poczem zajrzał do siebie na wieś, wypełnił kieszenie i pojechał do Monaco — zajrzeć w jasne oczy Fortuny.

Jakież były jego losy?

Politechniki nie skończył.

Na wsi, oglądając gospodarstwo, które go ogromnie mało interesowało, spędził pół roku zaledwie, potem zjeżdżał do dóbr swych jedynie na krótko — tydzień, dwa, najwyżej miesiąc—resztę czasu poświęcając podróżom, zabawom i tak zwanym „towarzystwom” obowiązkowym.

Wiedział, że jest bogaty, ale ile posiadał majątku, to go nie obchodziło.

Od administracyi swej żądał, aby mu z dóbr dawała pewien stały dochód, ale o źródła i podstawy dochodu tego nie pytał.

Jeździł, polował, grywał po klubach w karty, a w Monaco w ruletę, flirt uprawiał zawzięcie, zarówno lekki, jak gruby i bardzo gruby, pozwalał swym koniom biegać na wyścigach, płacił — gdy go o to proszono — dość duże sumy na cele dobroczynne i z tytułu tego pozwalał nazwisko swe po dziennikach, ku zbudowaniu maluczkich, drukować.

Czasem tylko, w ohwilach ogromnego zmęczenia i pewnej duchowej reakcyi, odczuwał w teoryi potrzebę szerszej działalności. Wówczas z bijącym sercem przysłuchiwał się echu rodowych tradycyji, które mu niosło odgłosy wielkich czynów i ofiar spełnionych, wówczas widział dokładnie, jak na dłoni, co ma czynić, jak postępować, aby się złąć w jedno z ową wielką przeszłością — ale gdy jeno przez chwilę pomyślał o wcieleniu teoryi w czyn... wnet skrzydła mu opadały i mówił z pewną goryczą:

— *Eh, vogue la galère!*

Biedny był — z tem całym swem bogactwem!

Po powrocie z Rygi jeden karnawał spędził w Krakowie — potem dwa w Warszawie. Tutaj miał chwilę bardzo jasną.

Zakochał się w córce doktora Pogrubskiego.

Państwa Pogrubskich, ludzi zamożnych i ogólnie poważanych łączyły stosunki towarzyskie z najwyższymi arystokratycznymi sferami Warszawy. Staś poznał pannę Maryę na balu u hr. Rozdzieckich.

Zrobiła na nim odrazu ogromne wrażenie.

Przedewszystkiem była bardzo ładna.

Ale piękność jej nie była z tych, co palą i burzą krew, jeno jak miód ku sobie ciągną i upajają czarowną wonią fiołków, modlitwą cichych oczu i wiosną duszy.

Wzięła Stacha i tem, że była jakaś inna, niż wszystkie inne, które dotychczas znał: poważniej mówiła, sądziła głębiej, śmiała się szczerzej i lepiej i jakoś inaczej patrzyła.

Było w niej coś, co mimowoli budziło w mężczyznach uczucie szacunku i niosło na usta ich słowa:

— Do twoich stóp!

Staś w mgnieniu oka poddał się jej urokowi i przez salony Warszawy ruszył, jak cień, w ślad za piękną dziewczyną.

Wiedział, że to, co się między nimi zawiąże, nie będzie flirtem, ani zabawą, bo czuł, że z taką, jak ona, nie można i nie wolno się bawić—czuł, że w tę pogoń za nią włoży najlepszą część swojej duszy i czuł, że będzie to pogoń i że to pogoń... za szczęściem.

Pogoń?

Tak, pogoń!

Bo ona, jakby instynktem wiedziona, jakby nie wierząc, aby hrabia Konnor chciał i mógł ją pojąć za żonę, a bojąc się uledez urokowi, jaki na nią wywierał — bo że wywierał, to czuł doskonale — skoro wyczyta we wzroku jego więcej, niż zwykły zachwyt salonowca, więcej niż to, co jej codzien tysiące innych mówi oczu, wtuli swe serce bijące między białe skrzydełka duszy i zacznie go unikać — cofać się — uciekać.

I tak się też stało.

A on czuł, że kocha coraz mocniej i lepiej i kocha inaczej, niż kiedykolwiek dawniej — mniej krwią i zmysłami, więcej duszą.

I duszę tę biedną, schorzałą kładł w myśli u stóp jej kochanych i pragnął jej — jak zdrowia i tęsknił — jak za zbawieniem! Wierzył, że ona potrafi go uzdrowić i sił mu dodać nowych i śpiące w nim zbudzić nadzieje.

Przyszły mu na myśl słowa Murzyna, wypowiedziane w przeddzień ślubu:

— Mój Boże! mieć ją przy sobie i koło roli tej chodzić — przecież ja tylko o tem przez całą młodość marzyłem!

Miał rację pocziwy Murzyn: jedno dzielne, kochające serce — co to za potęgą!

Zachwyt młodego hr. Konнора dla panny Pogrubskiej zwrócił był powszechną uwagę.

— Afiszuje się, lecz nie w tem dziwnego—mówiono—panna taka ładna i szykowna, niech się chłopak pobawi.

Skoro jednak spostrzeżono, że Stasiowi o coś więcej, niż o zwykłą zabawę chodzi, oblano go wnet zimną wodą kastowych przesądów, a rodzina przywołała go do porządku i niemal gwałtem odstawiła w szeregi *comme il faut* rodowej arystokracji.

W pierwszej chwili Staś się oburzył i ani chciał słyszeć o zaniechaniu swych najgorętszych i najszerszych, jak mówił, zamiarów.

Przypomniął sobie, głośnie przed paru laty małżeństwo jednego ze swych dalszych kuzynów, który się również ożenił z córką doktora i w dodatku, o zgrozo! panną bez posagu, a jednak pozostał, jak dawniej—hrabią, korona mu z głowy nie spadła, tylko może więcej stał się—człowiekiem.

Gdy go straszono skutkami mezaliansu, miał powiedzieć:

— Włożę jej brylanty na szyję — i będzie taką hrabiną, jak wszystkie inne!

— Może nawet lepszą—miał ktoś wówczas dodać—bo nie wszystkie hrabiny mają takie brylanty—w duszy.

Więc oburzał się chłopak i stawiał zaciekły opór rodzinie.

Ale arystokracja w tego rodzaju walkach „o sztan-

dar” bywa niewypowiedzianie wytrwała. Osaczono go ze wszystkich stron i póty piłowano, aż w końcu znudzony—uległ.

Jakiś ból gryzący poczuł w duszy i dużo, dużo goryczy—ręką machnął na wszystko i z wielkim smutkiem wyrzekł:

— Et, niemam sił... *vogue la galère!*

On, potomek świetnych, w żelazo kutych rycerzy, nie miał sił stoczyć walki — o swe kochanie!

Wyjechał do Monte Carlo — zajrzeć w jasne oczy Fortuny.

A w niespełna rok potem dano mu pojąć za żonę — kuzynkę, hr. Rozdziecką, która mu wniosła milionowe wiano, dużo dystynkcyi i — małą duszę. Mógł więc podwoić przegrane po klubach, dwa razy większe sumy—gdy go o to proszono—płacić na cele dobroczynne, częściej i grubsze czcionkami drukować nazwisko swe po dziennikach—ku zbudowaniu maluczkich, zostać prezesem najrozmaitszych instytucyj, których rozwój go nie a nie nie obchodził i schorzała swą duszę truc, zagłuszać—i truc!

A panna Pogrubka?

Córka doktora musiała się pocieszyć zaszczytem, że hr. Konnor — miał zamiar starać się o jej rękę...

Biedna!

Biedny!

,

Dudrewicz, jako zawołany i rozumny agronom, poczuwał się do obowiązku nie tylko ogromny zasób swej osobistej pracy wkładać w ten szmat ziemi, który dawał mu utrzymanie, nosił w sobie trwałe ślady pracy i trudów całych pokoleń, węzłami krwi łączonych z rodziną jego żony, oraz stanowiący niejako jedną z milionowych podstaw owych ogniw, które się jak tęcza w szeroką myśl obywatelskich obowiązków łączyły, ale jednocześnie starał się, o ile możliwości, zastosowywać również w swem gospodarstwie wyniki uczonych badań i prac ludzi wiedzy, śledził jednym słowem skrzętnie za rozwojem nauki agronomii i, o ile mógł, przyswajał sobie jej zdobycze.

Będąc zdania, że odpowiednio zorganizowane wystawy rolnicze, czy to gubernialne, czy też powiatowe, przy pewnych dobrych chęciach ze strony samych ziemian, ogromnie dodatnio wpływaćby mogły na rozwój kultury danego kraju — zwiedzał takowe, o ile mu na to czas i środki pozwalały, niemałe, nawiasem mówiąc, ciągnąc z tego korzyści.

Ale bo też Dudrewicz w tem co czynił, miał zawsze cel rozumny i pocziwy. Więc też wystawę każdą zwiedzał dla niej samej, t. j. dla wystawy, nie zaś dla mniej lub więcej liczego i wesołego zjazdu ziemian, a co zatem idzie, partyi winta, śniadanka etc., dla „przewietrzenia się” po zbyt długim zasiedzeniu się w domu, dla wylania przed cierpliwym, bo współczującym i wtórującym, bodaj z minorowego to-

nu, współobywatelem swych żalów na „ciężkie czasy”, nieurodzaje, bezwzględność banków ziemskich i t. d.

Większy zwolennik maksymy filozofa „*Erkenne dich selbst*”, niż nim jest przeciętny nasz ziemianin, zwróciłby zapewne ostrze owych zażaleń przeważnie przeciwko sobie samemu, no—ale gospodarstwo—nie filozofia, a co zatem idzie, gospodarz — chyba nie mniej, niż—filozof!

Więc trudna rada!

.

Na żmudzką krainę spływała uroczą jesień i ubierała ją zwolna w przezrocze szaty o bladych barwach i nieśmiałych półtonach. Na bujną zieloność traw i liści, na przepych kwiecistych kobierców, kładła ostrożnie jasne, żółto-różowe odcienie. Różom z piersi szkarłatnych krew ssą, fiolety lewkonii zmywała obficie łą-rosą, a gorące spojrzenia słońca chłodziła powagą swych lic. Przyszła pogodna, jasna i zadumana, ludziom przyniosła spory zapas dobrego, nieszkodliwego już ciepła, dotknęła kojącą dłonią serca sennego już lata i zdawała się mówić łagodnie:

— Idź, spocznij teraz, ty wielkie, kochane dziecko! boś już zmęczone kochaniem, tworzeniem — sen-

ne masz oczy; wichry przyjdą, zawieje i nawałnice... ty śpij spokojnie — ja czuwać będę. A za rok przychodź znowu, jasny uśmiechem natury, gaje zapełnij świegotem ptasząt, kwiatom zabarwij policzki, słońcu daj moc kochania, a ludziom — serca rozpłomień! Niechżeż za twym przykładem kochają i tworzą — bo potem jesień nadciągnie — a lato życia... nie wraca. Za panią jesienią nadbiegły wiatry-gońce, załkały przeciągle w sztywnych gałęziach pół-nagich drzew, garście nadwiedłych liści chwytały i słupy piasku, i niosły je w wirze szalonym przez puste ścierniska, gdzieś hen! w przestworza sine, jak suche szczątki zwiędłych pragnień ludzkich... Wrzaskliwe stada wron i gawronów obsiadły drzewa; szare chmury płynęły po niebie... bór szumiał...

Rolnik zwoził śpiesznie do stodół resztki urodzajów i gotował się na przyjęcie zimy.

W taki to czas jesienny Murzyn, uporawszy się z główniejszemi robotami koło gospodarstwa, wybierał się na wystawę rolniczą do Wilna. Uściskał serdecznie żonę, wycałował dwóch „Murzynków”, curiosa, o jasnych, jak len, włoskach, które po matce wzięły (starszy nazywał się Staś), siadł na bryczkę — i dwa tęgie żmudziny uniosły go sporym kłusem ku stacyi.

Do Wilna przyjechał w nocy.

Wynajął sobie skromny numerek w hotelu Sołowskiiego, przespał się, nazajutrz rano był w Ostrej-

Bramie, załatwił kilka sprawunków i ruszył w kierunku placu wystawy.

Godzina była jedenasta.

Na wystawie pusto; gdzieś włączyła się nieliczna służba, jakiś samotny gość zajrzał od czasu do czasu, w stajniach szlachcic impetyk, widocznie właściciel wystawionego okazu, łątał chłopca stajennego — zresztą pusto i cicho.

Murzyn skorzystał z czasu i miejsca, żeby wystawę sumiennie obejrzeć.

Kiedy skończył oglądanie ostatniego pawilonu, na wystawie było już gwarно. Tłumy publiczności przechadzały się po placu, czapkowano sobie gęsto, witano się; uśmiechy, pytania, odpowiedzi krzyżowały się w powietrzu; z pomiędzy bladych twarzy mieszkańców miasta, jak rydze z pomiędzy leśnych storczyków, wytryskały ogorzałe, typowe twarze szlachty ze wsi — publiczność napływała coraz gęściej.

I czuć było, że większość tych ludzi przyszła tu nie dla przekonania się o postępach rolnictwa w kraju, nie dla przyjrzenia się owocom pracy ziemian, ale dla przyjrzenia się sobie wzajemnie i odechnięcia tą atmosferą zgiełku i wrzawy, która stanowiła dla nich coś w rodzaju „siódmego nieba.”

Dudrewicz szedł zwolna ku restauracyi. Mijał właśnie stajnie ks. Oczyńskiego, gdy wyprowadzono z nich kasztanową klacz żmudzkiej rasy, która już przedtem zwróciła była jego uwagę. Kilku panów,

widocznie ekspertów, otoczyło wnet niespokojne zwierzę, a jeden z nich zaczął je mierzyć.

Przystanął, aby się tej operacyi bliżej przypatrzeć. Twarzy owych panów nie mógł dokładnie rozpoznać, byli bowiem do niego obrócenii plecami, ale jeden z nich, elegancki, otyły blondyn, średniego wzrostu, przypominał mu kogoś niezmiernie z ruchów. Zbliżył się więc nieco, żeby mu się lepiej przyjrzeć i nagle wybiegł mu mimowoli na usta wesoły wykrzyknik:

— Ah, Bolek!...

Otyły pan zwrócił ku niemu szybko jasną twarz, spojrzał na niego bystro przez pince-nez w złotej oprawie, lekki pons oblał mu lice i rzuciwszy równie szybko, jakby na odczepne słowa:

— Jak się macie, jak się macie...

Zwrócił się do jednego ze swych towarzyszków i biorąc go poufale pod ramię, oddalił się z nim w przeciwną stronę.

Dudrewicz skamieniał. Czyżby się omylił? Ale nie! to przecie Zdziarski, Zdziarski we własnej osobie! Więc zkadże to przywitanie, więcej, niż dziwne, bo obrażające?

Rzucił po sobie okiem. W długim paltocie, wyblakłym nieco od słonecznych promieni, w szerokim, filcowym kapeluszu, wyglądał w samej rzeczy trochę na ekonoma, przy eleganckim Bolesławie Zdziarskim. No, ale niby — ta dawna przyjaźń — koleżeństwo, ta

cała przeszłość, lata dziecinne, czasy studyów... to niby nic? To wszystko... nic?

Murzyn nie rozumiał, nie czuł nawet żalu, był tylko zdziwiony. Spotkało go to tak niespodzianie, tak nie mógł sobie zdać sprawy z tego, co się stało, że gotów był po raz setny w życiu uwierzyć—w jakieś nieporozumienie, omyłkę.

— Musiał mnie nie poznać—pomyślał i zadumany ruszył zwolna ku restauracyi.

Nagle trącił go ktoś w plecy i jakiś znajomy głos zawołał jednocześnie:

— *Wie geht's Murzynku?*

Odwrócił się. Przed nim stał Stecki, również kolega z Rygi. Uściskali się serdecznie.

Stecki, był to wysoki, zgrabny szatyn, o nieco ironicznym wyrazie twarzy; miał zwyczaj podczas rozmowy uważnie patrzeć w oczy osoby, z którą rozmawiał, co mu w niektórych kołach zjednało opinię aroganta. W Rydze skończył z odznaczeniem wydział chemiczny, osiadł jednak potem na roli i bardzo umiejętnie, jak mówiono, zarządzał majątkami ojca w gubernii Wileńskiej. Ubrany był wytwornie.

Wziął Murzyna pod ramię i spytał:

— Dokąd idziesz? Czy nie do restauracyi?

— A jakże!

— No, to doskonale się składa, bo i ja głodny

jestem, jak poeta; zjemy razem śniadanie i pogawędzimy trochę.

— I owszem.

Ruszyli ku restauracyi. Przez chwilę milczeli, poczem Stecki zaczął:

— Widziałem twoje przywitanie ze Zdziarskim.

— Musiał mnie nie poznać.

— Oj, Murzynku, to ty jesteś jeszcze zawsze ten sam?

— Bo co?—spytał posępnie Dudrewicz.

— Bo wierzysz zanadto... w ludzi?

— Nie rozumiem.

— Udajesz chyba! Jakto? Więc ty na seryo sądzisz—mówił już nieco żywiej—że on cię nie poznał? Wierzysz, że to nie komedia z jego strony, zwyczajna, obrzydliwa komedia płytkiej duszy samoluba?

Urwał, przystanął i patrzył Murzynowi w oczy, mrużąc swoje.

— Może ty jeszcze i w przyjaźń jego wierzysz? — zapytał po chwili zwolna, cedząc każde słowo.

Murzyn się zachnął.

— Nie rozumiem, Stecki, co cię upoważnia...

— Co mnie upoważnia?—przerwał Stecki i z pełnem uniesieniem mówił. — Upoważnia mnie nie pu-

sty dźwięk, lecz treść słowa „koleżeńskiego,” upoważnia mnie wspomnienie tych lat, któreśmy wspólnie spędzili w Rydze, pamięć rojeń i marzeń młodzieńczych — i obowiązków, któreśmy za onych młodych lat na siebie przyjęli! Miałożby i tamto wszystko być... komedya tylko?

— Zkąd znowu!

— No, więc widzisz! Do Zdziarskiego nie miałem nigdy sympaty i zaufania, nawet wówczas, kiedy go jednogłośnie niemal okrzyczano u nas za jakieś lumen pod każdym względem. Widziałem w nim zawsze skończony typ karyerowicza, nie przebieającego w środkach dla dopięcia celu. I za takiego mam go i dziś. Ale niema co mówić: sprytna sztuka pod każdym względem, lis farbowany, co się zowie! Komedye grać zaczął, gdy po raz pierwszy z krótkich wylazł pantalonów, komedye grał w Rydze, komedye gra dziś i gotówbym się prawie założyć, że zanim ostatecznie na Abrahama przeniesie się łono, conajmniej raz jeden dla komedyi przebudzi się z letargu.

W trakcie rozmowy weszli na obszerną werandę przy restauracyi. Pełno tu było i gwarno; Stecki kłaniał się na prawo i lewo i witał znajomych. Z trudnością przeciskając się między publicznością, wyszukali sobie wreszcie niezajęte miejsce. Zasiedli i kazali podać śniadanie.

Przez chwilę milczeli, poczem Stecki zaczął znowu:

— Nie uwierzysz, jak mnie to gniewa, gdy widzę, jak tego rodzaju figurom powodzi się na świecie, a jeszcze więcej, gdy zaczynają odegrywać pewną rolę. Taki Zdziarski na przykład; w społeczeństwie zdrowem, to przecież materyał na najzwyczajniejszego statystę—a u nas... gra pierwsze skrzypce! I jak gra! A jak ludzie tańczą—pod takt jego muzyki! Nie wiem doprawdy, co w tem wszystkim przeważa, czy strona śmieszna, czy smutna. Jak on w duszy musi z nas kpić!

— Napijmy się sznapsa! — przerwał nagle Murzyn.

— I owszem.

Zadzwonili na kelnera i kazali podać wódki.

— Gniewa mnie — mówił znowu, nawiązując rozmowę Stecki—gdy takie marne, ale sprytnie indywidua wodzą za nos i pomiatają wprost porządnymi, uczciwymi ludźmi. Ot, teraz widzisz, dlaczego ci to wszystko mówię, dlaczego staram ci się oczy otworzyć!...

Mileczał przez chwilę.

— Żebym nie widział dziś jego zachowania się względem ciebie—dodał—i żebym, znając go doskonale, nie wiedział, co ono miało oznaczać, możebym ci tego wszystkiego nie powiedział. Ale tak — miarka się przebrała.

Murzyn próbował jeszcze słabo oponować, ale mu się to nie udało, bo już sam w prawdę tego, co

mówił — nie bardzo wierzył. Więc w końcu dał pokój i niecierpliwił się tylko, że służący marudził z podaniem wódki.

Przyniesiono ją wreszcie.

Tręcili się kieliszkami.

— Prosił!

— Sto lat!

— Może jeszcze?—zapytał Murzyn.

— Dobrze!

Tręcili się znowu.

— W twoje ręce!

— Prosił!

I zabrali się do jedzenia.

Po chwili Stecki rozpoczął:

— Jak wiesz, Zdziarskiego nie lubiłem nigdy i należałem do stałych jego oponentów, z niemałą, rozumie się, szkodą dla siebie. On jednak — bał się mnie trochę. Dziś jesteśmy współobywatelami — majątki nasze graniczą prawie. Spytykamy się nieraz w życiu zwykłym, codziennym i przy szerszej pracy obywatelskiej. Jak on wszędzie, wszędzie politykuje, i nieraz wyśmienicie odegrywa komedye! Trzeba go tak znać, jak ja go znam, żeby poznać w nim tego, nie owijając w bawełnę — łotra poprostu, który z po za skóry wzorowego na pozór wyziera obywatela. I ma powodzenie. Wszędzie go pełno, wszędzie jest czynny, wszędzie ustępują mu z drogi i honorują go —

a on najczęściej cudzemi rękami wyciąga kasztany z ognia. Są wprowadzie i tacy, co go już również trochę poznali, tu i owdzie szemrzą — ale przeważnie, powiem nawet wyłącznie, jak to u nas zwykle — po za oczami. Bo trzeba ci wiedzieć, że Zdziarski, to już dziś pewnego rodzaju potęga — człowiek z ogromnymi stosunkami i bardzo bogaty; no, a za pieniądze kupisz dziś sobie — i moralność i poważanie, pozorze przynajmniej, u ludzi — i dobrą sławę.

— Jeszcze sznapsa, dobrze? — przerwał Murzyn.

— Lej!

Trącili się kieliszkami.

— Prosi!

— Pröstchen!

Stecki, otarłszy usta serwetą, ciągnął po chwili dalej:

— Ja znam niejedną sztuczkę mego kochanego Zdziarskiego, bo on, dla osiągnięcia swych celów, nieraz nawet na „sztuczki” się puszcza. Jak dawniej, tak i dziś, gdy zachodzi tego potrzeba, mówię mu prawdę w oczy i niebardzo go oszczędzam w sądach przed ludźmi. Ale jemu tego mało — bo on, z wrodzonym sobie sprytem, wykręca się zawsze z dwuznacznych sytuacji, a nieraz nawet z błota — wypływa z laurowym wieńcem na łysinie! Zresztą, jak mówiłem, boi się mnie trochę — i dlatego, jak może, unika. Nieraz jednak myślę sobie, że może

jest to wprost obowiązkiem moim zdemaskować go raz doszczętnie. Tak, ale co to jest zdemaskować? Jest to wyzwąć do walki otwartej człowieka ogromnie sprytnego i potężnego niemal, jest to podburzyć przeciwko sobie naszą chwiejną i przedajną i niezmiernie trwożliwą opinię publiczną, jest to narazić się na dużo przykrości i trudów—i wiesz, gdy o tem wszystkiem myślę, ręce mi opadają i czuję najwyraźniej, że do walki takiej, walki—w przekonaniu mojem najzupełniej słusznej—nie mam poprostu sił!

— Nie masz... sił?... — zapytał przeciągle Murzyn.

— Tak, sił nie mam—powtórzył Stecki.

Dudrewicz, nic nie mówiąc, napełnił kieliszek; trącili się, milcząc i wychylili je duszkiem.

— Podłe życiel

— Niech dyabli porwą!

— Dlaczego on się właściwie nie żeni?—zapytał po chwili Murzyn.

Stecki spojrzał na niego trochę zdziwiony.

— No, bo pierwsza żona jeszcze żyje!...

Teraz Dudrewicz wybałuszył oczy.

— Jaka pierwsza?

— Ach, więc ty wogóle nie wiesz o tem, że się on dwa lata temu ożenił?! Ha, ha, ha — przyjaciel—i nie wiel! Ano, to leżało z pewnością w programie Bolka: jakżeby Belesław Zdziarski miał ja-

kiegoś tam Dudrewicza zawiadamiać o swoim ślubie! Owszem, ożenił się i zrobił finansowo doskonałą partję. Ożenił się z księżniczką Milecką. Było ich trzy: dwie bardzo piękne i jedna ułomna. Owe dwie piękne wyszły świetnie zamąż — jedna za hr. Polińskiego do Galicyi, ogromnie bogatego człowieka, należącego do najwyższych sfer i robiącego karierę polityczną — druga za hr. Antycza, tu w kraju; trzecią, po namyśle, oddano Zdziarskiemu, który po nią sięgał, jak po gwiazdę z nieba! Biedna dziewczyna! chora zupełnie — ale posag wniosła mu ogromny. Zdziarskiemu jednak więcej, niż o posag, chodziło o stosunki, bo Mileccy, Polińscy, Antyczowie — to świetne rody, a Zdziarscy — dobra szlachta, ale trochę świeża — klejem pachnie; to też dość dowcipnie opowiadano o nim ogólnie, że nietyle się ożenił, ile „zeszwagrował.” Mocno też jest śmieszny z tem ciągle „mój szwagier, hr. Poliński” — „kiedym bawił u mego szwagra, hr. Polińskiego w Galicyi” itd. Ja tam jakimś dziesiątym sposobem jestem nawet trochę z Mileckimi spokrewniony — i ztąd Zdziarski odczuwa dla mnie pewien respekt. Wogóle z rozkoszą nurza się w błękitnej krwi i zobaczysz za parę lat będzie dowodził, że w żyłach jego nigdy inna nie płynęła. A ludzie? Ludzie, albo będą mu wierzyli, albo — udawali, że wierzą; bo za pieniądze — kupisz wszystko...

— Czy z Bol... czy z tego... Zdziarskiego dobry gospodarz — zapytał Murzyn — ziemi nie wyniszczy, nie puści?

— Przez złą gospodarkę stanowczo nie—odpowiedział Stecki po pewnym namyśle—ale dla spekulacyi... nie ręczę! Masz np. taki fakt: Za żoną wziął, między innemi, oprócz gotówki, jakiś niewielki wprawdzie, ale, bądź co bądź, niezły kawał ziemi na Żmudzi. Niewygodnie było mu trochę administrować ztąd, z Wileńskiego, owym majątkiem na Żmudzi, a może nawet nie opłacała mu się gospodarka. Dość, że skoro się nadarzył kupiec, co dał dobrą cenę, Bolek majątek sprzedał i jak powiadają, zrobił nawet *a feines Geschäft*.

— Na Żmudzi?—zapytał Murzyn i oczy mu zaświeciły.

— Na Żmudzi; nie wiem gdzie, w jakim powiecie, ale na Żmudzi.

— Bydlę!—mruknął Murzyn i oparł o stół dwie duże, żylaste pięście.

A towarzysz jego ciągnął dalej:

— Robił jednak to wszystko tak zręcznie, z takim pozornym smutkiem i rezygnacją, tak przytem biadał i narzekał, że kto go tak dobrze, jak ja, nieznał, mógł w samej rzeczy sądzić, że Zdziarski nie miał innego wyjścia. Tylko ze szwagrem Antyczem niezupełnie mu się udało.

— Powiedz-no mi, mój kochany—miał go *à propos* owej sprzedaży zapytać — czy ja robię świństwo, sprzedając Brzeźniany?

— Hm... — odpowiedział Antycz — świństwo... to może za silny wyraz... świństwo—nie; ale prosieństwo!

Murzyn zaczął się głośno śmiać, a Stecki kończył:

— Skonfundował się, biedak okropnie, ale na szwagra Antycza — obrazić się nie mógł. Jego tam wogóle nieraz pigułkami karmić muszą—ale to strusi żołądek!

— I miedziane czoło—dodał Dudrewicz, w którym wódka i opowiadanie Steckiego rozbudziły wojowniczego ducha.

Rozparł się też szeroko w krzesło i trochę wyzywające spojrzenia zaczął rzucać dokoła.

W tej chwili odwołano Steckiego; jacyś panowie pragnęli się z nim zobaczyć. Uregulowali więc rachunek, pożegnali się i Stecki odszedł. Dudrewicz pozostał sam.

Tymczasem przed werandą powstał ruch: konie p. Łaszkiewicza miały skakać — ciekawi widzowie cisnęli się do baryery.

I w samej rzeczy, po chwili ukazał się jeździec na tęgim, skaro gniadym halblucie i zaczął brać przeszkody, które mu, w miarę skoków, podwyższano.

Murzyn z ciekawością śledził ruchy konia i postawę jeźdźcy, gdy nagle odezwał się tuż za nim znajomy głos:

— Jak się masz, Murzynku?

Obejrzał się i ujrzał Orłowskiego, również kolegę z Rygi. Był to niewielki brunecik, o żywych oczach, znany z prawdomówności i uszczypliwych uwag. Dostatni, elegancki, właściciel ziemski—dzielił swój czas między gospodarstwo i podtrzymywanie rozległych stosunków towarzyskich. Szukał towarzystwa i jednocześnie drwił z niego. Podejrzewano go, że zbiera „typy.”

Przywitali się.

— Przyjechałeś na wystawę?

— Jak widzisz.

— I dla wystawy?

— No—chyba!

— Zadowolony jesteś?

— Wiesz co... mogłoby być lepiej.

— Widziałeś wszystko?

— Zdaje mi się.

— Eh, wątpię! U nas, żeby zobaczyć, trzeba umieć patrzeć. Ot, ja ci np. pokażę takie okazy, jakich jeszcze z pewnością nie widziałeś i nie przypuszczałeś może nawet, że mogą egzystować w naszym zacofanym kraju.

Przysiadł się do Murzyna i zamiast przypatrywać się koniom, wskazał mu ruchem głowy parę osób z publiczności.

— Patrz no tam... ci dwaj wysocy blondyni,

ubrani jak gdyby im krawiec płacił za reklamę, a ci w tych króciutkich palitkach, z minami jak gdyby przed chwilą, co najmniej, po tuzinie nieświeżych ostryg zjedli—sławne golasy z urodzenia, ale z tupe-tem. Przed paru laty sprowadziła ich tu z Galicyi, zestosunkowana w każdym tego słowa znaczeniu, ciotka i wydała...

— Jakto „wydała?”

— Ano, nie wiesz? Przecież dziś u nas nietylko panny wydaje się zamąż; nierównie częściej—kawalerów za żony. Taki sam dobry kierunek w małżeństwie, jak np. dekadentyzm w literaturze, impresjonizm w malarstwie: światłocienie, niewyraźne kontury, blade kolory, dużo placu, naga dusza, pusta kieszeń — ale zdaleka nieźle robi wrażenie — i „nastrój” jest. Otóż, co do tych dwóch, import się udał: Ciotka dała im bardzo bogate żony (bogactwo — czytają: pieniądze) i dziś posiadają ogromne fortuny, które z prawdziwym talentem... puszczejają.

Zapalił papierosa i mówił dalej:

— A ten tam, co stawia szampana — widzisz? Szampańsko głupia twarz, z przodu łysy, z tyłu rozczesany, a wszystko razem podobno obywatel z Białej-Rusi, czy też z Inflant. Z dobrej i porządnej, tylko materyalnie nieco podupadłej, a przez to trochę zapomnianej rodziny. Niedawno odziedziczył ogromny spadek po jakimś bezdzietnym krewnym i teraz... ekstra-cugami rozwozi swe nazwisko po kraju, są-

dząc prawdopodobnie, że się w ten sposób prędzej przypomni ludzkiej pamięci; otrząsa nazwisko „z pyłu zapomnienia”.

— Duren! — zakonkludował głośno Murzyn i ziewnął przeciągle.

— Zdziarskiego widziałeś? — zapytał Orłowski.

— Widziałem.

— To także okaz; tylko tego pokazywałbym za kratą.

— Dlaczego?

— Bo szkodliwy.

I umilkli.

— A toż kto? — zagadnął po chwili Murzyn, ukazując końcem laski kilku panów, sztywnych i godnych, kroczących z nieco sztuczną powagą w stronę restauracyi.

Orłowski pogonił wzrokiem za laską Murzyna, zamiast jednak odpowiedzieć, rzucił pytanie:

— Pierwszy raz jesteś w Wilnie?

— Nie.

— No, to ci się dziwię — mówił z trochę sztuczną powagą — gdyż w takim razie musiałbyś wiedzieć, że są u nas ludzie, których 1-o nie można wskazywać końcem laski, a 2-o których nie można zapytywać: „kto to taki?” bo każdy obowiązany jest wiedzieć, kto to taki!

Murzyn zrobił wielkie oczy, a Orłowski spokojnie mówił dalej:

— To jest... jakby ci to tak dokumentnie wytłuszczyć?... to jest takie duże towarzystwo wzajemnej adoracyi, którego członkowie stawiają siebie wzajemnie na świeczniku, związani są z sobą wspólnością interesów i pragnęliby uchodzić za nieomylnych i nieetykalnych pod każdym względem. „Tykać” mogą ich tylko wybrani; bywały jednak wypadki, że ich — i ktoś niepowołany „dotknął.” Szczęśliwy, kto się do tej wielkiej dostanie rodziny, albowiem hasło jej — „solidarność” (o środki — mniejsza).

— Tak, tak — zauważył Murzyn — solidarność spotyka się jeszcze między nami; tylko tam jej, niestety, niema, gdzie jej najwięcej potrzeba!

— Co tam solidarność! — pochwycił Orłowski — a opinia, myślisz, że egzystuje? Ja ci powiadam: ubierz dziś występek we frak i biały krawat, wsadź mu monokl w oko i daj rocznie dochodu 2% od miliona, a znajdzie wstęp wszędzie. Ot, np. taka hrabina Antyczowa... nie z tych tutejszych Antyczów, ale z jakiejś tam innej linii. Kobieta kiedyś bardzo piękna; dziś — jak spłowiła materya; ale wartość swoją zawsze ma dla znawców zwłaszcza i amatorów. Sławna poprostu z tego, że się takim znawcom daje oceniać. Po dziś dzień otacza ją rój, wiesz — takich wiejskich rzemieślników salonowych; a mąż, krety — zamiast kijem porozpędzać tę hołotę, albo przynajmniej sobie gdzieś łeb o skały roztrzaskać, ośmiesza się i daje jej firmę, która, naturalnie, brzmi... Antycz i spółka... Doprawdy, często się nie jest w sta-

nie przeprowadzić granicy między światem a półświatkiem. No, i taka pani, ponieważ nosi ładne nazwisko i ma pieniądze, z małemi wyjątkami, jest wszędzie z upragnieniem witana i „czyni honor” domowi, w którego progi wkracza.

Przechylił się przez stół, zajrzał Murzynowi w oczy i mówił nieco podniecony:

— Mieliliśmy tu złotego młodzieńca, którym się ogólnie zachwycano. Nie było domu, w którymby go nie witano z upragnieniem, powtarzano sobie jego dowcipy, podziwiano szyk i elegancję, być z nim na „ty” — to dla wielu było zaszczytem, módz z nim flirtować— dla niejednej... szczęściem! A ten, istotnie grubo dowcipny i elegancki facet, był w gruncie rzeczy... skończonym szubrawcem, co zresztą później faktami stwierdził. Ludzie przeczuwali w nim szubrawca, a byli i tacy, którzy o jego moralnej wartości jaknajdokładniej byli poinformowani; ale wyobraź sobie: pomimo to wszystko na tyle domów znalazł się tylko—jeden, w którym go w końcu przestano przyjmować — zamknięto przed nim drzwi. Poza tem, nikt się nie odważył, a może też nie chciał przeciw niemu wystąpić, bo młodzieniec miał piękne koligacje, był „w modzie,” bo był jedynym do flirtu, bo był lubiany, bo działał na nerwy, bo był w dobrym tonie”—ha, ha, ha... ten dobry ton! Rosło więc ziółko na tym podatnym, unawożonym gruncie, wybujało w bezczelność i arogancję, aż wreszcie kiedyś—przeszło samo siebie—i znikło, na szczęście, z wido-

wni. Oto masz naszą opinię! Dziwna impotencya woli! Chęci dobrych jest może i dużo, ale odwagi, przekonań nie a nie — i sił brak do najlżejszego starcia. A ów młodzieniec czynił zapewne również „honor” niejednemu domowi, w którego progi wkra-
czał.

Zaśmiał się cierpko.

— Murzynku! co to ludzie z naszego honoru zrobili?! Z naszego górnego, o białych skrzydłach, czystego, jak kryształ, „burszowskiego” honoru?! Jak latarnia nad domem rozpusty — świeci biedak nieraz u wrót występku. Honor... czy wiesz? Dziś już nie-jeden nie rozumie wprost spiżowej treści tego słowa, bo się zatarła w ciągłych poniewierkach...

Murzyn słuchał opowiadania towarzysza i wi-
docznie posępniał. Obu łokciami wsparł się o stół,
głowę zwiesił, a szary, głęboki smutek osiadł mu na
twarzy. Wreszcie, gdy Orłowski umilkł, podniósł nań
powoli zamglone oczy i zapytał cicho:

— Jak wy możecie żyć... w takich brudach?

Orłowski znów bezdźwięcznie się roześmiał.

— Do wszystkiego można się zczasem przy-
zwyczaić—odrzekł—i w tem tkwi właśnie niebezpie-
czeństwo.

Poczem obaj zapadli w jakiś dziwny stan odrę-
twienia; rozmowa nie dała się więcej nawiązać.

A dokoła nich śmiano się, dowcipkowano, gwar

rósł, publiczność napływała istnemi falami, kelnerzy uwijali się, jak w ukropie, a ze szlacheckich kieszeni, nie bacząc na „ciężkie czasy” jakoś dziwnie lekko uchodziły pieniądze...

Dudrewicz pierwszy obudził się z zamyślenia. Po chwili żegnał się z Orłowskim i opuścił wystawę.

Szedł szybko, ruchy miał zamaszyste, gorączkowe i jakąś groźbę w twarzy, ludzie pomimowoli ustępowali z drogi temu rozmachanemu atlecie.

Ale on tego nie widział; był zatopiony w myślach, przetrawiał to wszystko, co przed chwilą usłyszał. Ot, pod wpływem owych opowiadań, coś się nagle zepsuło w tej szczerej, prostej i naiwnej duszy, runął niespodziewanie jeden z tych strzelistych przybytków tęczowych marzeń i wierzeń, które na idealnym gruncie budować zwykła młodość i padając poszarpał duszę idealisty, bo krwawi...

Wpadł do hotelu, zamknął się w swoim numerze i z całego serca, ze wszystkich chęci zapragnął, przez chwilę chociażby, o niczem nie myśleć — zapomnieć!

Ale wnet, jak rój much natarczywych, opadły go myśli czarne i nie dawały spokoju.

Życie jego nie stało się przecież po różach, i nigdy on sobie życia nie przedstawiał zbyt jasno i barwnie, a ludziom skrzydeł nie przypinał białych. Wie-

dział, że zło i dobro od początku świata ścierają się z sobą, wiedział, że ludzie po pas brną nieraz w brudach i fałszu, ale nigdy nie widział zła w tej formie, w jakiej mu się dziś przedstawiło: bezczelnego nagością swą, z wyzywającym uśmiechem nierządniccy na bielidłem pokrytej twarzy!

Więc jakiś głuchy bunt podniósł się z tej prostej, czystej duszy przeciwko pewnym na świecie panującym porządkom. Wiedział, że zło szerzy się gwałtownie, ale wierzył jednocześnie, że mu przeciwdziała legion szczytnych myśli i tęczyowych uczuć.

Niejednej z tych myśli, niejednemu z uczuć, w zaraniu młodości swej jeszcze wystawił w duszy ołtarze, na których, z zaparciem się siebie, niejedną już złożył ofiarę i strzegł ich, niby świętości jakich. Aż oto dziś zarysował się nagle jeden z tych świętych przybytków i groził upadkiem... na ołtarzu przyjaźni gasły, tak jasne wczoraj jeszcze płomienie!

Murzyn próbował raz jeszcze tłumaczyć przed sobą różne fakty, ale mu to nie szło; argumenty, obwiniające Zdziarskiego, były zbyt silne.

A on w tę przyjaźń, w dziecinnych jeszcze zawiązaną latach, tak wierzył tak święcie wierzył pomimo wielu podejrzanых faktów, które brał wiecznie za fałszywe jeno pozory, i przestróg, których mu

rzekomo życzliwe użyczały usta, a które on stale z oburzeniem odrzucał.

Jakież to wstrętne! i jak boli!...

I nagle myśl jego, zmęczona tego rodzaju obrazami, zapragnęła szerokiej, mglistej ciszy wiejskich łąków... Dworek biały stanął mu przed oczyma, a w nim jego płowowłosa Zosieńka...

Hej! Wróci! Wróci!... do tej roli zoranej! do tej sadyby, do tej Zosieńki!

Ale dusza znów zajęczała.

A przyjaźń?...

Staś!

Tak! Staś jest przecież! jest jeszcze Staś! Ten nie zawiedzie, nie zawiedzie nigdy!

I poczuł jednocześnie niepohamowane pragnienie zobaczenia go jaknajprędzej, zobaczenia zaraz!

Gdzie on teraz być może?

W Warszawie?... Tak, w Warszawie! Sądząc z ostatniego listu, musi być w Warszawie!

Zerwał się z łóżka i zadzwonił na numerowego.

— Rachunek proszę mi przygotować i pasport zwrócić; wyjeżdżam dziś wieczorem do Warszawy — zawołał szybko, gdy się ten we drzwiach ukazał.

— Pan dobrodziej kurьерem?

— O której odchodzi?

— Ósma dwadzieścia trzy.

— Kuryerem!

Chwycił za palto, kapelusz, laskę i zbiegł ze schodów, pozostawiając w pokoju, zdumionego mocno tym impetem służącego.

Litwin spoglądał za nim przez czas jakiś, poczem leniwie poskrobał się w głowę i rzekł do siebie półgłosem:

— Musi grubo zgrał się w karty.

A Murzyn pędził tymczasem po Niemieckiej ulicy w dół ku ratuszowi. Sam nie wiedział dokąd idzie i po co, czuł jeno potrzebę ruchu; więc szedł coraz dalej i dalej, pogrążony w myślach, które mu nie dawały spokoju.

Po niejakiś czasie zwolnił kroku i po raz pierwszy rozejrzał się po ulicy. Spojrzał na jednego z przechodniów; zdziwiło go, że szedł z odkrytą głową. Spojrzał dalej: drugi trzeci tak samo...

Podniósł nieco wzrok...

— Ach! To Ostra Brama!

Zdjął szybko kapelusz, przeżegnał się i skręcił na lewo w korytarz, wiodący do kaplicy. Wązkimi schodkami wbiegł na górę.

W kaplicy pusto było, parę zaledwie osób modliło się po kątach. Ukląkł u jednego z okien, nisko pochylił swą wyniosłą postać i jakimś cichym, zdławionym szeptem rozpoczął:

— Pod Twoją obronę...

.

Kiedy się podniósł z klęczek, zmrok już zapadał, ściany kaplicy, ołtarz, postacie modlących się tonęły w fantastycznych półcieniach.

Wybiegł szybko na ulicę i podążył do hotelu. A w niespełna godzinę potem pędził kurjerem do Warszawy.

Wieczór już zapadł zupełny; w słabo oświetlonym przedziale wagonu II-ej klasy kilku zaledwie siedziało podróżnych; przestronnie było i wygodnie. Wcisnął się w kąt kanapy, pograżył w zupełnym cieńnię i raz jeszcze przywiódł na pamięć wrażenia dnia ubiegłego.

— A jednak — pomyślał po pewnym przeciągu czasu—jednak ten Bolek może i nie jest tak bardzo znów winien, że się stał tem, czem jest dziś, ludzie, otoczenie dali mu się stać takim. Żeby mu odrazu pokrzyżowano niektóre „kombinacye”, możeby i z niego coś lepszego, pożyteczniejszego wyrosło; bo on się stanowczo nie tyle własną siłą, ile słabością bliźnich wybił. Kuł, bo kuł swoje szczęście, uważając bliźnich za kowadło, ale faktem jest, że ci bliźni sami nieraz nadstawiali mu karku. Społeczeństwo nasze proteguje poniekąd tworzenie się takich typów, jak Zdziarski...

Zaczęło go ogarniać zmęczenie i senność; myśl się rwała, przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, obrazy nabierały fantastycznego zabarwienia... wreszcie głowa mu opadła na piersi i usnął.

A we śnie ujrzał siebie raz jeszcze w kaplicy Ostrobramskiej u stóp Miłosiernej Matki. Zmrok za-

padał, ołtarz tonął w półcieniach, a on szeptał żarliwie:

— Pod Twoją obronę...

Chwila upływała za chwilą, a jemu z serca ból ustępował powoli, natomiast spływał w nie jakiś tęskny, jasny i szeroki spokój...

.

Nastała głucha, ciemna noc. Pociąg pędził szybko, rozsypując dokoła miliardy złotych iskier i kołysząc miarowym ruchem postacie rozespanych podróżnych.

V.

Od godziny już prawie błądził Murzyn po ulicach Warszawy i nie wiedział, co z sobą począć. Do Warszawy pędził na złamanie karku, mając myśl i serce przepełnione jedną myślą wyłącznie — zobaczenia jaknajprędzej Konнора. Tu na miejscu ogarnęła go jakaś dziwna nieśmiałość.

Tyle lat się nie widzieli! Konнор — to dziś magnat krociowy! A nuż i w nim z dawnego serdecznego kolegi nic — nic już nie pozostało? Przecież życie tak dziwnie ludzi zmienia!

Że korespondowali z sobą od czasu do czasu? To i cóż z tego? List — to nie żywe słowo; a zresztą na odległość kłamać i udawać łatwiej, niż w żywe oczy. Żeby kłamać w żywe oczy, trzeba być bezczelnym; żeby za pośrednictwem listu kłamać — tylko nieuczciwym. To łatwiej.

Biedny Murzyn cały jeszcze pod wrażeniem

swoich wileńskich przejsć, obawiał się, by go i tu nie spotkało bolesne rozczarowanie; pozatem żenowało go niezmiernie otoczenie, wśród jakiego spodziewał się zastać Konнора. Taki pan obraca się dziś wśród samych tylko panów, a szukać trzeba go w pałacu, o pysznych salonach, licznej służbie...

Opuściła go nagle odwaga. Jak się on tam dostanie i jak będzie wyglądał, on, syn dzierżawcy żmudzkiego, w pałacu tego kolegi-magnata?

— Oj, złoto, złoto nas dzieli! — pomyślał z pewną goryczą i zawrócił z powrotem do hotelu Saskiego, w którym stanął.

Gdy tak pogrążony w myślach, szedł ulicą Senatorską, minęła go z impetem parokonna dorożka na gumach, wioząca jakiegoś szykownego jegomościa. Jegomość ów rzucił nań przelotne spojrzenie, a jednocześnie prawie dorożkarz pod wpływem jego energicznego „stój!” osadził konie, aż im iskry strzeliły z pod kopyt.

Owym jegomościem był — Konnor. Z wesołym uśmiechem na twarzy biegł w stronę przyjaciela i zdaleka już wołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Murzyn na warszawskim bruku?! Co się stało?!

Paru przechodniów zatrzymało się i ze zdziwieniem, a może i pewnem zgorszeniem przypatrywało, jak ten wykwintny arystokrata w białą dzień, na

warszawskim bruku, ściskał i wycałowywał z nieklamana radością barczystego Żmudzina w niemodnym filcowym kapeluszu i wyblakłym jesiennym palcie.

— Pysznie wyglądasz! — wołał Staś w przerwach między jednym uściskiem, a drugim—jak rydz! Zdrowie bije, niby woda z fontanny! Nie tak, jak u nas — wąsik wprowadzie do góry, ale kolanka się trzęsą, kolanka...—i śmiał się wesoło i znowu ściskał przyjaciela.

A Murzyn zdębiał.

Wierzył wprowadzie w przyjaźń swego Stasia, wierzył mocno; ale ot — pod wpływem wileńskich przejść i na tym punkcie jakaś niepewność zakradła mu się do duszy — więc się takiego przywitania nie spodziewał. I oto ten Staś, ten ukochańy, od dziecka—wymarzony Staś, ten Staś milioner i magnat—pierwszy go poznaje i rzuca mu się w ramiona, na ulicy, przy świadkach, z taką nieklamana radością, że i najniewierniejszy z Tomaszów uwierzyćby w nią musiał!

Więc — czy to, że przejścia z dni ostatnich mniej go uczyniły odpornym na pewne wrażenia natury psychicznej, czy też, że podróż roztroiła mu nieco nerwy — dość, że czuje jakiś skurcz w gardle, wilgoć w oczach... i nagle porywa Stasia w swe herkulesowe ramiona i ściska tak, aż temu żebra trzeszczą.

— Bój się Boga! Bo wyzionę ducha!

Lecz Murzyn puszcza go po chwili i już spokojnie mówi:

— Bo ja, kiedy kocham — to już ze wszystkich sił!

— No, do zobaczenia! — woła Staś — śpieszę się, mam interes — tu zaciął się — to jest „interes” — dodał, podkreślając ten wyraz — w naszym, nie w waszym zrozumieniu tego słowa.

Machnął ręką i zaśmiał się.

— Do zobaczenia zatem. O trzeciej bądź koniecznie w hotelu Europejskim, w restauracyi. Pogadamy z sobą, przypomnimy dawne czasy. Będziesz?

— Będę!

— Do widzenia!

— Bądź zdrów!

Wskoczył do dorożki i odjechał, a Murzyn rozpromieniony i szczęśliwy podążył do swego Saskiego hotelu.

Punkt o trzeciej wchodził do restauracyi hotelu Europejskiego; rozejrzał się po sali — ale Stasia nie było jeszcze. Więc usiadł przy jednym ze stolików i czekał.

Minął kwadrans — niema Stasia; minął drugi — niema. Zaczął się niecierpliwić, kazał więc podać śniadanie i gorączkę oczekiwania zalewał — piwem.

Dopiero koło czwartej ukazał się Konnor na sali; nie był jednak sam, ale w towarzystwie kilku mniej lub więcej szykownych panów, których wiek nie dałby się dokładnie określić.

Byli wszyscy albo łysi, albo też gruntownie rozczesani na dwie połowy, mieli twarze o wąsikach zaczesanych „à la Wilhelm”, uzbrojone przeważnie w monokle i spojrzenia, jakgdyby każdy z nich co najmniej — po jednej odkrył Ameryce; mieli przytem wszyscy ogromnie cienkie nogi, z charakterystycznym zgięciem w kolanach, co wychowanemu na wsi Durdrewiczowi mimowoli przypominało koński „kozinię”; jednym słowem: byli to ludzie, którym nic... nie wypada zarzucić.

Murzyn instynktownie schował się za jedną z kolumn sali, ale — chociaż nie był Ameryką — Staś odkrył go odrazu.

Nastąpiła prezentacya — kilka ukłonów bez zarzutu, kilka uścisków dłoni, z charakterystycznym wyrzucaniem łokcia do góry, kilka wzorowych:

— *Charmé...*

— Beeerdzo mi miło...

— Beeerdzo mi przyjemnie...

Potem wzięcie Murzyna w posiadanie i przeniesienie się z nim na wspólny większy stół pod lustrem, w rogu sali; wreszcie kilka mistrzowskich dyspozycyj, udzielonych kelnerom, i rozmowa, mająca na celu przełamanie pierwszych lodów.

Murzyn, który się spodziewał serdecznego sam na sam z Konnozem, przeklinał w duszy te wycelowane w siebie monokle i nie wiedział, jak sobie z niemi dawać rady. Stracił się też zupełnie i byłby się prawdopodobnie zaciął i milczał uparcie, lub też rozpoczął jaką rozmowę o urodzajach, gdyby nie Staś, który widząc jego zakłopotanie, nawiązał z punktu z ogromną wprawą wesołą rozmowę „o niczem” i wciągnął w nią powoli całe towarzystwo.

Umieć mówić „o niczem”, jest poniekąd obowiązkiem każdego dobrze wychowanego człowieka, jest to warunek, bez którego trudno uzyskać patent na tak zwanego „światowca”, bo w tak zwanym „świecie” spotyka się tylu ludzi, którzy nic sobie nie mają do powiedzenia, których nic nie obchodzi i nic nie interesuje, że cóżby w nim począł człowiek, nieumiejący mówić „o niczem”?!

Umiał więc i Staś mówić o niczem i ci wszyscy panowie, o monoklu w oku i charakterystycznie zgiętych kolanach; jeden tylko Murzyn przysłuchiwał się im z wzrastającym zdumieniem i pojąć nie mógł, jak można tracić tyle czasu na przelewanie pustych słów—w puste mózgi.

Gdy się wyczerpała rozmowa „o niczem”, zaczęto mówić o klubie i kartach; Murzyn wciąż jeszcze milczał, chociaż śniadanie było obfite i bardzo dobre i zalewano je gęsto równie dobrem winem.

Potem wjechano na temat koni i wszczęto dyskusję o mniej lub więcej opłacających się kierunkach hodowli krajowej, w której nareszcie i nasz Żmudzin wziął żywy udział i wykazał nawet dużo fachowej znajomości rzeczy.

Tymczasem wino robiło swoje.

Rozmowa stawiała się coraz głośniejszą, na łysiny wystąpił pot kroplisty, twarze zaróżowiły się zlekka, oczy zaszły leciuchną mgłą; zaczęto mówić o kobietach — i w ten sposób, w jaki pewna kategoria „światowców” mówi o nich zawsze, a ludzie nieświatowi pod wpływem alkoholu — często.

Posypały się więc dykteryjki, dwuznaczniki, opowiadania tłuste...

W końcu całe, mocno już wesołe towarzystwo, przeniosło się do osobnego gabinetu i tam — polał się szampan.

Murzyn, który już oddawna nie był wlewał w siebie jednorazowo takiej ilości alkoholu, czuł, że go trunek rozbiera.

W końcu postacie otaczających, ściany gabinetu, sprzęty wszystkie, butelki nawet i szklanki zaczęły wirować przed oczami jego w szalonych jakichś obrotach i już tylko piąte przez dziesiąte zdawał sobie sprawę z tego, gdzie jest, co robi i t. p. Jak przez mgłę widzi przy sobie rozpromienioną twarz Konнора, który się doń uśmiecha, gestykuje zawzięcie, rozpowiada coś i zdaje się pysznie bawić,

słyszysz wesołe, bardzo nawet wesołe śmiechy całej reszty towarzystwa; w towarzystwie tem dostrzega nagle jakieś postacie kobiece, jakieś panie we wspa- niałych strojach, pachnące, rozśmieszone, sączące per- listego szampana.

Potem czuje, jak go ktoś bierze pod ramię — nakładają mu palto, kapelusz — wychodzą na ulicę; prąd świeżego powietrza, który go tu owionął, otrze- żwia, a raczej orzeźwia go nieco, sadzają go do po- wozu i jazda!

Ma przy sobie Stasia i jakąś kobietę. Nie zda- je sobie sprawy, z kąd ona się tu wzięła, co przedsta- wia i do jakiej kategorii istot ludzkich ma ją wła- ściwie zaliczyć, gdyż z jednej strony zachowanie się jej całe każe mu się w niej domyślać damy z pół- światka, z drugiej zaś — pewna dystynkeya ruchów, szyk i elegancya, a zwłaszcza ta łatwość mówienia, jak z książki, o niczem, wzbudza w pocziwym Mu- rzynie pewne wątpliwości pod tym względem.

Czuje się więc z początku nieswojsko i nie wie, jak się ma względem niej zachować, ale przykład Stasia poucza go w tym względzie, a zapach jej mło- dego ciała, które czuje tuż-tuż przy sobie, rozmarza w końcu więcej, niż wino.

Jazda trwa długo — wyjechali bowiem za miasto.

Zajeżdżają wreszcie przed oświetlony gmach — wchodzą — znowu śmiechy, gwar, piski, znowu sham-

pan. Murzyn doznaje powtórnie szalonego zawrotu głowy.

Na kolanach siada mu jakaś dama, uśmiecha się czarująco, mówi coś, usta zbliża do ust i niby róża, co w pełni rozkwitu rozchyła swych listków szkarłaty, odsłania stopniowo przed oczami jego coraz nowe powaby i wdzięki.

Ale Murzyn zanadto już ma ciężką głowę, siedzi martwy, jak kłoda, i nie zdaje się go nie obchodzić.

Nagle ktoś z towarzystwa wymówił słowo „hakatysta.”

Żmudzina jakby kto nożem pchnął: w jednej chwili zbudził się w nim dawny, zacięty wróg „krzyżaków”, pięścią huknął w stół z taką siłą, że zeń szklanki i butelki pospadały z łoskotem, a blat stołu długą zarysował się szramą.

Kolosalne zdumienie i przestрах całego towarzystwa były następstwem tego wybuchu; w chwilę jednak później rozległ się wesoły śmiech Konнора:

— Brawo! zbudził się dawny Podbipełta!

Dudrewicz chciał coś mówić, ale język mu się plątał, poczem siły go opuściły i stracił przytomność.

Obudził się dopiero nazajutrz rano w hotelu, w swoim numerze, z okropnym jammerem fizycznym i moralnym.

Co to byli za ludzie? I czego chcieli od niego? Więc to miało być owo sam-na sam z Konno-rem? Krzyki, pijaństwo, wyuzdane obyczaje — i to ma być zabawne?

Przed oczami wyobraźni stanęła mu Zosieńka, taka czysta, jasna, lecz jakaś smutna zarazem — i zrobiło mu się ogromnie żal jej i sobie i wstyd, że się tym ludziom dał wywieść w pole.

Zapukano do drzwi.

— Proszę!

Numerowy podał kartkę od Konнора.

„Koło 4-ej bądź koniecznie w Europejskim” — pisał.

— Może się już opamiętał—pomyślał Murzyn— może tym razem będziemy sami.

Ale zastał go znowu w otoczeniu wczorajszej świty.

Znowu śniadanie, znowu gabinet i znowu szampan.

Jednak tym razem Murzyn dalej nie ruszył; wymówił się mocnym bólem głowy i pomimo nalegań i prośb, powrócił koło północy do hotelu.

Nazajutrz, koło 12-ej, wybrał się do mieszkania Konнора.

— Pan hrabia śpił — meldował lokaj, mierząc

go trochę drwiącem spojrzeniem, ale po chwili zapytał śpiesznie, przypatrując mu się badawczo:

— Przepraszam... jak nazwisko?

— Dudrewicz.

— A, przepraszam—pan hrabia kazał przyjmować pana o każdej porze.

Pomógł mu zdjąć palto i przez szereg pysznych pokoi poprowadził w głąb mieszkania.

Parkiety, lustra, dywany, bogate sprzęty... Murzyn żałował już prawie, że przyszedł, tak się tu czuł nieswojsko.

W jednym z pokoiów prosił go lokaj, aby się chwileczkę zatrzymał, sam zaś ruszył dalej.

Po chwili doszedł uszu Murzyna szelest jedwabi, odgłos lekkich kroków, jakieś szepty... poczem ten sam lokaj ukazał się we drzwiach i meldował głośno:

— Pan hrabia prosi!

Otworzył drzwi.

Murzyn dał parę kroków i znalazł się w sypialnym pokoju Konнора.

Rozejrzał się: pokój był wspaniały i urządzony z największemi wygodami, jakie sobie tylko wyobrazić można.

Na ogromnem dębowem łóżku, pod kołdrą jedwabną, spoczywał Konnor i witał go zmęczonym nieco uśmiechem.

Obok łóżka stał stolik ze srebrnymi przyborami do kawy, dalej nieco niziutka kozetka, a na niej porozrzucone przeróżne części kobiecej toalety—wszystko ogromnie eleganckie i kosztowne — na ziemi pantofelki, małe, czarne, kobiece pantofelki...

Murzyn wstrzymał się mimowoli i zapytał naiwnie:

— Mówiłeś mi przecie, że żona twoja zagranicą?...

Lekki pons oblał twarz Stasia, jednak ledwie dostrzegalny uśmiech zarysował się dokoła ust jego, gdy odpowiadał:

— To nie żona..

A Murzyn nagle spowaźniał.

To, co dla Stasia było rzeczą zupełnie zwykłą, to, co nie a nie nie raziło jego i jemu podobnych, tam — w małym, białym dworku na Żmudzi, tam — u tych prostych, naiwnych ludzi, o duszach czystych, jak kwiat, tam — nosiło to miano występku, brudu, podłości i nazywane było jeszcze po imieniu.

Mieszkaniec białego dworku surowo spoglądał na Stasia, a oczy jego, wyrażające zdumienie i rozczarowanie, zdawały się go pytać z wyrzutem:

— Jakto? I ty?... I ty?...

W myśli stanęły mu noce przebumlowane, czas zmarnowany, życie puste, bezmyślne... zbliżył się do łóżka, usiadł na krawędzi jego i cicho, prawie szeptem przemówił:

— Ej, kochanińki! Coś z tobą, zdaje się, kiepsko...

A na dźwięk tych słów, które tyle, tyle razy! za dawnych — oh! lepszych — lepszych czasów z ust swego druha był słyssał, Stasiowi nagle cała krew zbiegła do twarzy — sponsoviał, łyzy stanęły mu w oczach i ruchem nerwowym, gwałtownym odwrócił się do ściany.

I leżał tak długo.

Nie słyssał, jak lokaj wchodził do pokoju, nio-
sąc kawę dla gościa, nie słyssał, jak zegar 1 szą wy-
bił... leżał tak długo; tłumił w sobie żal, co mu tar-
gał duszę i gorycz, co się w mózg wżerała.

Dopiero, gdy się nieco uspokoił, odwrócił się
z wolna i spojrział z podełba na przyjaciela.

Ten wciąż jeszcze siedział w tej samej pozycyi
na krawędzi łóżka i milczał.

Więc z wypiekami na pobladłej twarzy, głosem
nieco drżącym i przerywanym od wzruszenia, zaczął
mówić:

— Posłuchaj ty mnie! Tobie jednemu powiem,
bo na twem zdaniu mi jeszcze zależy — reszta...
furda! Tobie powiem, bo w tej chwili — niepowie-
dzieć—nie mogę. Poruszyłeś duże, ciche wody, któ-
re zdawały się już na zawsze zarastać—sitowiem za-
pomnienia. Wrzuciłeś w nie kamień wspomnień, ka-
mien pamiątek, i wywołałeś niepokój. W miejscu,
w którem padł, powstało na wodach nagle — małe,

nieznaczące kóteczo—i zaczęło coraz szersze—coraz szersze — zataczać kręgi—i rozbudziło nie jeden ból, co tam—na dnie drzemiących wód—jak koral, cicho spoczywał — i rozbudziło powiędłe lilie i nenufary, symbole ideałów zgasłych i marzeń, które, zdawało się, że trzciny sitowia — na wieki już — zagłuszyły...

Ty mnie znasz, znasz od dzieciństwa — i przyjacielem mi jesteś, więc nie sądź tak srogo, jak może pozornie na to zasługuję, bo mi na twoim zdaniu zależy. Słaby jestem, słaby ogromnie, ale nie taki bardzo zły, jakim się być wydaję. Ty wiesz najlepiej, wolą, energią nie odznaczałem się nigdy, ale miałem dużo zapału i duszę gorącą i tyle czystych, szczerých pragnień! A przecie... z wyjątkiem tych kilku lat spędzonych w Rydze, całe moje życie składało się na to, aby ten zapal wyiębić i zbrzydzić każdą szerszą myśl, każde dążenie wznioślejsze...

Wszystko u nas dopasowywało się do pewnych form, uświęconych wiekami. Ludzi uczyło się cenić powagą rodów, z których pochodzili, lub stopniem zaemożności. Nie uznawano w nich zalet indywidualnych, z wyjątkiem towarzyskich naturalnie, ale zasługi przodków; duch, chcący wzlecieć i szerszego użyć lotu, winien się był najpierw przekonać, czy mu wzlecieć wypada... a serca, co zapragnęły kochania, zapytywano, czy się kochanie opłaci.. Nie wszędzie wprowadzicie tak było i głupstwem byłoby chcieć

tego dowodzić, faktem jest jednak, że ci z nas, co się ponad przesady wzniesić potrafili i pojęli ogrom zadania i obowiązków, ciążących na tych, których nazwisko, tradycje i pieniądze na czoło postawiły narodu, że ci i u nas do mniejszości należą, a ja w mojem najbliższem otoczeniu nie miałem ich wcale, niestety! Może zresztą to mój specjalny pech, mozem nie umiał patrzeć. Tobie jednemu to mówię, boś ty jeden naprawdę dobrze mi życzył, więc mi na twym sądzie zależy. Innym... wara do mnie i do moich! i do bólu mego i zmarnowanego życia!

— No, ale skoroś sobie tak jasno zdawał ze wszystkiego sprawę, dlaczegożeś się nie opierał, nie bronił?—zapytał Murzyn.

— Jam to wszystko zrozumiał już wówczas, kiedy było zapóźno.

— Nic—nigdy—nie jest zapóźno!

— Jak czasem, i jak dla kogo.

— Jednak przyznaj sam, mój Stasiu — rzekł znów na to łagodnie Dudrewicz—przecież i tyś miał takich, którzy cię przestrzegali i wykazywali ci całą niewłaściwość i bezcelowość życia i starali się ciębie pozyskać dla pracy szerokiej, dla niepoślednich celów?...

— Tak, byli tacy — odrzekł Konnor po chwili namysłu—byli tacy... ty—w pierwszym rzędzie. Ale was było zamało, abyście mogli przeciwważyć mojej słabości, i tamtym wpływom, i całej masie nawy-

knień, nałogów, wyssanych z krwią, dziedzicznych z pradziada na dziada, z ojca na syna i t. d. Zresztą, ja nie chcę siebie tłómaczyć, moja wina, moja ogromna wina... a tym, którzy względem mnie zawinili, przebaczyłbym wszystko i zapomniał, gdyby nie jedno...

Tu zaciął się, a potem, ze wzrokiem utkwionym w dal i jakby zapatrzony w jakieś obrazy przeszłości, zaczął mówić cicho, zwolna i ogromnie smutno:

— Ona jedna mogła mnie uzdrowić... ona jednal! Ty wiesz o tem, bom ci wówczas pisał. Zapłał mogła mi wrócić i dać skrzydła orle! I jak dziś nisko upadłem, takbym się wówczas wzbił wysoko—przez nią i dla niej! Bo taka już moja natura: pójdę ci na armaty z gołemi rękami, do słońca się wzbiję, pracy, niczego i nikogo się nie ulękne, jeno mi trzeba kochania, kochania, kochania!!

Zapalił się, podniósł nieco na łóżku i żywo mówił dalej:

— To też całym sercem, całą duszą, krwią serdeczną i każdym nerwem istoty mojej modliłem się do niej—i o nią! A oni—ten źródło czysty, z którego piłem zdrowie i szczęście — zaprawili trucizną! Obrzydzili mi wszystko, wszystkich i siebie... uciekłem—i uległem. A dziś pogardzam sobą za tę słabość swoją, graniczącą z podłością — więcej, niż za życie marne i puste i upadek moralny i to wszystko, co dokoła mnie widzisz!

Umilkł na chwilę, usunął się na poduszki, poczem mówił dalej:

— I czy ty wiesz? Takie pętanie serc, takie wykluczanie *a priori* szczerych i czystych uczuć, o ile nie popierają ich pieniądze lub koligacje, ta polityka przy zawieraniu małżeństw, która zrozumiała być może u rodzin panujących, ale nie u nas, i dziś zwłaszcza jest, tak mi się zdaje, jednym z powodów, dla których—stosunkowo—tak mało poświęcenia, tak mało dbałości o kraj i losy ludu, tak mało wzniosłych uczuć i pracy szerokiej, a tak dużo starej prywaty, bezmyślnego zabijania czasu i chwastów moralnych spotykamy u naszej arystokracji.

Bo gdzie niema miłości prawdziwej, dużej, wzniosłej miłości, zrodzonej w sercu, podsycanej krwi młodej krążeniem i w duszy rozanielonej, tam się nie rodzi żaden czyn szlachetny, tam żadna praca wymarzonych nie przynosi owoców, tam niema sił prawdziwych, ani prawdziwego lotu!... Życie bez miłości — martwem jest! Jak kwiat bez słońca — nie potrafi się nigdy rozwinąć i zdrowych wydać owoców.

— Ty tu mówisz o miłości mężczyzny do kobiety—zauważył Dudrewicz—a przecież po za tą miłością, są jeszcze inne: miłość kraju i miłość bliźniego...

— Ach! — przerwał mu Staś niecierpliwie — ludźmi jesteśmy, więc bierzmy rzeczy po ludzku. Od tamtej miłości wszystko się rozpoczyna, ona tworzy

grunt, na którym dopiero owe inne mniej lub więcej silne puszczają pędy.

— A kiedy miłość jest nieszczęśliwa, czy również podatny stanowi grunt?

Staś chwilkę pomyślał, a potem odrzekł tak cicho, że go Murzyn ledwie usłyszał:

— U jednostek silnych—tak!

— A u słabych?

Pokiwał głową przecząco.

— Upadek!

Przez czas jakiś milczeli, poczem Dudrewicz zapytał:

— Czemużeś się nie bronił? Przecież pisałem ci wówczas, pisałem z duszy, z serca.

Staś się zaśmiał.

— Od dzieciństwa samego wrywano mi zwolna piórko po piórku ze skrzydeł moich i uczono chodzić po ziemi; a ty mnie pytasz: „Czemuś, ptaszku, nie wzleciał do słońca?”

— Są dusze, którym skrzydła odrastają po razy dziesięć...

— I są takie, których przeznaczeniem: pójść do piekła.

— Niema przeznaczenia!

— Ale jest słabość i rozpacz i upadek...

— I wiara i modlitwa...

— I na to trzeba mieć siły.

— Nie, trzeba o nie prosić.

Staś nic nie odpowiedział, dopiero po jakimś czasie zawołał gwałtownie:

— Boże! jakżeż jam ją kochał — i dziś jeszcze kocham bez pamięci!

— I dlatego dałeś ją sobie tak łatwo wziąć?

— Oszczędzaj mnie! Wyznałem ci przecie wszystko — sił nie mam!

Murzyn wstał nagle, przeszedł się parę razy po pokoju, poczem zatrzymał się u wezgłowia łóżka i w ten sens rozpoczął:

— Opamiętaj się, Stasieczku, jeszcze nie wszystko stracone. Niema takich ran, któreby się zabić nie dały. Otrząśnij się i pójdź w świat, w nowe, inne życie — i chodząc dużemi krokami po pokoju, wysłanym dywanami, jął mu malować taką inną przyszłość, pełną pracy i zasług i błogosławieństwa — i cichego spokoju i żalu ukołysania...

— A ona — kończył — widząc cię takim, będzie błogosławiła twą pamięć za tę pracę i trud i odczuje, że to przez nią tak czynisz i zrozumie twoje kochanie i będzie ci wdzięczną...

Ale Staś smutno się uśmiechał i powtarzał:

— Daj pokój! daj pokój! to nie dla mnie — sił nie mam!

Potem rzekł jeszcze:

— Nad grobem przemawiasz. *Lasciate ogni speranza! Vogue la galere!*

I przy ostatniem słowie zerwał się z łóżka, a spojrzawszy na zegarek, zawołał swym dawnym, wesołym głosem, bez cienia smutku i żalu:

— Patrzcie państwo! to już zaraz druga! A tyle mam interesów: śniadanie, klub, karty, obiad u Adasiów Rokickich, na który się kolosalnie cieszę... ale prawda, przedtem jeszcze jedno, w samej rzeczy — poważne posiedzenie, na którem mnie zastąpi wiceprezes, bo pan prezes z powodu „braku czasu” nie będzie mógł przybyć... I ty powiadasz, że życie moje jest puste? Przepelnione raczej, Murzynku!

Zaśmiał się, zadzwonił na lokaja i przy pomocy jego zaczął się gorączkowo ubierać.

Dudrewicz usiadł w fotelu i przypatrywał mu się w milczeniu.

A on, ubierając się, plótł piąte przez dziesiąte.

W trakcie tego zauważył owe części kobiecej toalety, porozrzucane na kozetce i zawołał:

— Ach, biedna Lola! musiała całe morze kawy wypić i obywać się mocnem „négligé,” w czasie kiedy ja tak uroczo drapowałem w smutki moje. Jak można mieć tak mało serca, a jednocześnie tak pięknie o miłości mówić.

— Poproś no tu zaraz panią! — zwrócił się do lokaja.

Lokaj wyszedł, ale jednocześnie Murzyn powstał z fotelu i zaczął się żegnać.

— Już?

— Już.

— Do widzenia!

Podali sobie ręce i Murzyn wyszedł.

— Do widzenia i... dziękuję! — zawołał za nim Staś.

A potem dodał jeszcze:

— A nie daj się skusić i wychodząc, nie oglądaj po za siebie, żebyś się czasem w słup soli nie obrócił! — i roześmiał się głośno.

Murzynowi ten sztuczny, wymuszony śmiech długo, długo dźwięczał w uszach.

Po powrocie do hotelu starał się uporządkować w myśli, to wszystko, co od Stasia usłyszał.

Żał mu go było, ogromnie żał, ale z drugiej strony, chcąc wydać sąd sprawiedliwy, musiał go, w części przynajmniej, potępić.

— Nie sztuka — mówił sobie nasz Zmudzin-
atleta, noszący w zdrowym ciele równie zdrową duszę — nie sztuka powiedzieć: „Będę grzeczny, jeno mi dajcie gwiazdkę z nieba! Spełnię swój obowiązek—jeno dajcie mi być szczęśliwym! Pójdę w życiowy bój w pierwszym szeregu—jeno mi dajcie kochanie, kochanie, kochanie!” Z życiem nie można w kompromisy wchodzić... albo się jest dzielnym mężem, albo się nie jest; i niema boju — tam, gdzie

przeszkód niema. Tylko, chcąc iść do boju, trzeba mieć hartowną zbroicę — a jemu nie dano nic, ani tarczy, ani zbroicy—nie uczono go ciosów parować... coś więc dziwnego, że uległ, nim jeszcze broń zdołał skrzyżować?! A jednak pomimo wszystko... nie takich nam mężów potrzeba — nie takich! Z tej wielkiej areny, na której się rozgrywają tragedye życiowe, zejda oni — ci, którzy w nich pierwsze odgrywali dotychczas role — w cień i zapomnienie — a miejsca ich zajmą—pogardzeni statysci.

Ale jak pomódz Stasiowi? Czy można go jeszcze uzdrowić, do czynu pobudzić, miłość własną, ambicje poruszyć—ratować?

Zapomniał pocziwy Murzyn, że on go od wczesnej młodości z błota za uszy ciągnął.. dziś trudniej, niż kiedykolwiek! Zapomniał pocziwy Murzyn, że nie uzdrowi przyjaźń tego, kogo kochanie odrodzić nie zdołało!

Długi czas łamał sobie głowę nad tem, jakby dopomódz przyjacielowi, w końcu doszedł jednak do przekonania, że on tu w danym momencie nic wskórać nie zdoła—chyba zczasem... dziś w każdym razie nic. Zresztą i szczupłe jego środki, nie obliczone na pobyt w Warszawie, miały się już ku końcowi — a w domu czekała pilna robota. Więc postanowił tego samego dnia jeszcze wyjechać.

Do Stasia napisał list z pożegnaniem, dobry list, serdeczny i szczery i odesłał go przez posłańca,

sam zaś nocnym pociągiem wyruszył z powrotem na Żmudź.

Odetchnął, kiedy się znalazł w wagonie. Wrażenia, których doznał od czasu wyjazdu z domu, gniotły mu duszę i zachwiały nieco tak silną dotychczas wiarę w ludzi i powodzenie dobrej sprawy. Chciałby się jaknajprędzej pozbyć tego przygnębiającego uczucia... więc całą duszą zatęsknił do swych pagórków leśnych i do łąk zielonych, do dworku białego, do Zosienki swojej i do swoich dwóch białych „Murzynków” i radby był pociąg wyprzedzić, aby móżdż ich jaknajprędzej do serca przytulić.

Ale pociąg szedł wolniej, niż chęci jego najszersze. Nazajutrz przesiadł się w Landwarowie do pociągu kolei Libawo Romeńskiej. Dla skrócenia sobie czasu, kupił na stacyi parę pism i zaczął je przeglądać.

I czytał, między innemi, jak tam pod pruskim rządem coraz gęściej padano w szeregu, jak coraz ciśniejsze wróg zataczał koła... raz jeszcze przebiegł myślą wrażenia z dni ostatnich i westchnął cicho:

— Nie takich nam mężów potrzeba! Nie takich!

Nareszcie pociąg stanął u celu. Wyjrzał oknem: oto kasztanki jego czekają na stacyi... stary Józef na koźle...

Wyleciał, jak waryat, na peron, skoczył do bryczki i huknął:

— Ruszaj! Tylko prędko!!

Stary Józef cmoknął na swe żmudziaki, a one porwały z miejsca, jakby czuły, że wiozą Żmudzina, co tęsknił do swojej Żmudzi!

Jesień była, deszcz mżył, błoto chlapało pod kopytami końskimi... ale cóż to wszystko znaczyło! Przecież to była jego jesień! jego deszcz! jego błoto! Gdyby nie obecność Józefa—radby wyskoczyć z bryczki i całować tę ziemię zmokłą, tę kochaną—i czuć w tej chwili, że gdyby mu wszystkie miłości świata zabrano, ta jedna—starczyłaby mu za wszystkie!

Zmrok już zapadał, gdy przybył do domu; cóż to była za radość! Po razy sto całował żonę i dzieci, śmiał się, dokazywał niemal, aż się Zosienka spytała:

— Co ci jest, Władziu?

A on, bez namysłu, odparł:

— Szczęśliwy jestem—znowu szczęśliwy!

I nie czekając na jej dalsze pytania, jał rozpowiadać to wszystko, co tam przeżył w Warszawie i Wilnie. Mówił długo, chodząc dużymi krokami po pokoju, a w głowie jego dźwięczał żal, łzawy żal, żal krwawy...

Ona, krzątając się około herbaty, słuchała go ze spuszczoneym wzrokiem i ściągniętymi nieco brwiami i tylko od czasu do czasu wybiegały z ust jej krót-

kie, suche uwagi, gdy on mówił o Zdziarskim, słowa litości dla Stasia i rozumne, ciepłe słowa współczucia—dla niego.

Nad stołem, przy którym kipiał samowar, a zastawionym: serem, wędlinami wiejskimi, świeżem ciastem i masłem, zabłysło wreszcie światło dużej, zwieszającej się od pułapu lampy i całe kółeczko rodzinne zasiadło do wieczornej herbaty.

Murzyn wciąż jeszcze mówił o swej podróży. Najmłodszy „Murzynek,” o włoskach jasnych, jak len, zmęczony całodziennem hasaniem po podwórzu, kiwał się sennie nad swą herbatą i zdradzał niepohamowaną chęć zatopienia różowego noska w filiżance—starszy zaś, rozdzierając energicznie ząbkami, przy pomocy dziesięciu swych palców, ogromny kawał szynki, wpatrywał się w ojca dużemi oczami i zapytywał raz po raz:

— Tatko, cio to jeśt psy-jaźń?

Nie otrzymując jednak odpowiedzi i widząc, że nie zwracano na niego wogóle, wbrew zwyczajowi, najmniejszej uwagi, rozpoczął z wielkiem zajęciem, na ceratą pokrytym stole kreślić za pomocą palca i rozlanej herbaty fantastyczne arabeski w stylu „bé-bé,” przyczem nie obeszło się jednak bez przypadku; w ferworze zajęcia wyrócił bowiem garnuszek ze śmietanką, za co dostał od matki klapsa i co było hasłem, aby dzieci poszły spać.

Wyszła więc Zosieńka, niosąc na ręku rozespa-

ne młodsze dziecko, a prowadząc nachmurzone starsze—i Murzyn pozostał sam.

Światło lampy rzucało jasne blaski na niewielki pokój jadalny, o ciemnym, niewyszukanym obiciu, zaopatrzonego w najniezbędniejsze sprzęty, jako to — duży, staroświecki kredens, stół na środku i kilka krzeseł plecionych, na ścianie zegar głośno odmierzał chwile upływające swoim odwiecznym tik — tak... tik—tak... tik tak...

Murzyn dopił resztę herbaty, zapalił papierosa, wyciągnął się na krześle i puścił myślom wodze.

Zmęczona wyobraźnia zaczęła się ślizgać z przedmiotu na przedmiot, a potem uniosła go — gdzieś hen! w daleką, mglistą przeszłość!

I oto widzi siebie w jednej z dużych, jasno-szarych sal ryskiego gimnazjum w chwili gdy śpieszy na pomoc małemu Stasiowi, aby go od zwyczajem uświęconego „chrztu” obronić. Przed oczami, jak w kalejdoskopie, przesuwały mu się postacie nauczycieli, kolegów...

Co się z nimi stało, gdzie są i czem też są dzisiaj?... Czy wielu z nich otrzymało hartowne zbroje, czy tęskniło za słońcem i czy zatrulo im serca kochanie—czy też wlało im w żyły hart stali?... Wspomina czasy gimnazyalne; jakże mu ciężko szły nauki, jak ciężko!... a jednak — pokonał wszystko.

Widzi siebie w dużym salonie na pensyi panny X... muzyka gra—płyną tony walca. Spocony mistrz tańca puszcza w ruch parę po parze i każdej z nich kładzie w uszy takt swoim typowem:

— Reez—dwa, trzy. Reez—dwa, trzy!

To lekcyje tańca! Jemu się znów nie wiedzie—tak ogromnie nie wiedzie! Widzi niejeden uśmiezek szyderski, niejeden żart słyszy dotkliwy... a Zosieńka ucieka byle dalej! byle dalej od niego! A jednak i to minęło!...

Myśl go przenosi do złotych, górnych czasów, kiedy jako młodzieniec rozpoczął swe studia agronomiczne. Znowu masa twarzy znajomych, masa scen z ówczesnego życia, i wspomnień, i marzeń, i pragnień przelata mu wichrem przed oczami przeszłością rozmodlonej duszy... A ponad tem wszystkim górują trzy—silniejsze nad wszystko, co niepodzielnie zawładnęły wolą jego i w stal ją zakłuły: posiąść Zosieńkę, ratować Stasia—i z jaknajwiększym zasobem wiedzy wrócić do swej zagrody i przyłgnąć sercem płomiennem do ziemi, do tej kochanej — jedynej!...

I znowu zaszła zmiana w obrazach myśli jego. To wielka sala posiedzeń na kwaterze studenckiego stowarzyszenia. Kilka dużych lamp o reflektorach blaszanych, wiszących u niskiego sufitu, rzuca na nią migotliwe blaski, liczne okna pozasłaniane szaremi zasłonami. Na dworze, jak dziś, deszcz mży i dźwięczy lekko po szklanych szybach.

Wieczór — a raczej noc już chyba... To widać knajpa sobotnia po jakimś wesołym i udanym towarzyskiem zebraniu. W sali rojno, wesoło i gwarno... Przy niewielkich stolikach siedzi młodzież i popija piwo — na stolikach moc butelek — gdzieniegdzie, po kątach całe kosze piwa. Barwne, trójkolorowe czapki, z fantazją powieszane na tył głowy, mieszają się z czarnymi, o srebrnych znaczkach czapkami fuksów; tu i owdzie ktoś zrzucił surdut, bo w sali upał i połyskuje białymi rękawami koszuli i trójkolorową „bandą,” przewieszoną przez pierś. Na ścianach światło się łamie w szkło całej masy porozwieszanych na nich fotografii i z cieniów wyłaniają się poważne trójkolorowe sztandary i herby stowarzyszenia. Całe obłoki dymu od cygar i papierosów unoszą się ponad tem wszystkim...

I oto nagle, z pośród tego tłumu młodzieży, podnosi się wysoka, piękna postać młodzieńca... drobny blond wąsik, z fantazją podkrecony do góry, trójbarwna czapeczka na bakier, oczy śmieją się, jak gdyby zwierciadłem samego szczęścia był!... To Staś Rapiem, który trzymał w ręce, huknął parę razy o stół, przy którym siedział, aż stojące na nim szkło przeciągle zabrzęczało — i o silencium poprosił.

W sali zapanowała cisza; wszystkich oczy zwróciły się ku niemu, a on dźwięcznym, barytonowym głosem, rozpoczął znany przedśpiew do „Gaudemus:”

Gdy wieczorem marzę sam,
 To w mej wyobraźni
 Stają widma dawnych dni —
 Szczęścia i przyjaźni!
 Gwar wesołych, młodych dusz
 W głowie mej się cieśni —
 Zda się, słyszę cichy dźwięk
 Ulubionej pieśni:

„Gaudeamus igitur” zawtórowało mu w tej chwili sto głosów i poszła burzą przez salę odwieczna pieśń burszowska, na której dźwięk w duszy najstarszych bodaj burszów, po latach całych — zrywa się chmura wspomnień i pobudza krew do żywszego krążenia.

A kiedy umilkła pieśń, Staś drugą rozpoczął strofkę, a potem trzecią... zapalił się do śpiewu swego, w oczach błysnął mu zapał i śpiewał dalej:

Ach! rozkosznych wspomnień tłum
 Błyska ponademną:
 Niby gwiazdek złotych rój
 W noc zimową, ciemną...
 Zda się, widzę miasta kształt:
 W pustej gdzieś ulicy —
 Stoi stary, znany gmach...
 Mury mej Wszechnicy!

— *Vivat academia! Vivant professores!* — odpowiedziano mu chórem, aż się szyby w oknach trzęsły!

I tak szła strofka po strofce, aż przyszła wreszcie kolej na ostatnią.

Staś zamilkł na chwilę, a potem wolniej nieco rozpoczął:

Dziś, gdy troski srebrzą włos —
 Los mię gnie ku ziemi,
 W piersiach jęczy wiecznie głos
 Skargami smutnemi...
 Lecz gdy minie marzeń rój

Kończył znowu z młodzieńczą fantazją, siłą i werwą:

Dumnie wznoszę czoło
 I z fortuną w krwawy bój
 Idę znów wesoło!
 Pereat tristitia!

— *Pereat tristitia! Pereant osores!* — huknął znowu chór — i nagle, jakby szła jakiś ogarnął wszystkich; chwytano, co kto miał pod ręką: butelki, szklanki, rapiery, krzesła i walono niemi z całej siły o stoły, każdy się darł, ile tchu miał w piersiach, powstał hałas nie do opisania — i wśród tej piekielnej

wrzawy dobiegała kresu ostatnia strofka odwiecznej pieśni burszowskiej:

Pereat diabolus, qui estantiburschius —
Atque irrisores!

.

Murzyn długi czas siedział nieruchomo, wpatrzony oczami duszy w ten fatastyczny obraz przeszłości.

Boże! tyle ognia, zapалу, siły — ileż tego zaginać miało w walce o byt, o prawdę, o prawo i ideały — w brudnych mętach tej smutnej powodzi, co się zowie... życiem.

Powstał ciężko od stołu, zbliżył się do okna i spojrzał w głąb ciemnej, jesiennej nocy, co się czarnem skrzydłem na jego ziemi kładła...

A gdy tak stał — poczuł nagle jakiś oddech gorący przy twarzy... jasno-blond głowa przytuliła się pieszczotliwie do piersi jego i jakby w odpowiedzi na owe posępne myśli, cichy, prawie pokorny głos szepnął:

— Niech żywi nie tracą nadziei!

To była Zosienka.

A w nim w tej samej chwili z całą mocą buchnął płomień uczucia. Odczuł stal w muskułach i skrzydła u duszy — jedną ręką objął ją w pól, drugą wyciągnął do swoich pól i zagonów i zawołał z zapalem:

— Pereat tristitia!

Na pola i łąny — czarna noc kładła się długim cieniem, wiatr jęczał w gałęziach bezlistnych krzewów i drzew, deszcz mżył... a oni się zwarli w płomiennym uścisku, usta przyłgnęły do ust — i brali w swe dusze ogromne kochanie, jak ta ziemia — owocne, jak ten świat — szerokie, jak to niebo — gwiazdziste!

K O N I E C.

OD REDAKCYI.

Panu S. Szadkowskiemu w Wilnie. Profesor Ochowicz stale mieszka w Wiśle, przez Ustroń. Szlżak austriacki. Obecnie jest w Warszawie. Nowy-Swiat 41 — Kasa Literacka.

Panu Zygmuntowi S. w Smoleńsku. Prenumerata opłacona do d. 1 października 1903.

P. Bień. w Warszawie. Serdecznie dziękujemy za słowa uznania; niestety, nie wszyscy tak pojmują.

Pani Zofii K. w Petersburgu. Rękopis od roku leży w redakcyi do zwrotu. Prosimy upoważnić kogo do odbioru lub nadesłać nam dokładny adres, to sami pošemy pod opaską rekomendowaną.

P. A. Z. Nie możemy zrozumieć, o co rzeczywiście Szan. Panu idzie. Najlepiej w redakcyi codziennie od 10 do 12 przed południem.

Poni Adeli W. Przepraszamy najmocniej, ale korzystać nie będziemy.

P. A. L. w Siel. Opóźnienia nie było, wysyłamy Bibliotekę regularnie co tydzień we czwartki — prosimy zwrócić się z reklamacyą do zarządu poczty miejscowej.

P. K. M. Dobrze, prosimy zgłosić się osobiście do redakcyi.

Panu A. Kon. Następny tom Literatury Powszechnej będzie zawierał „Literaturę Żydowską.“

P. L. G-wicz. Myśl bardzo szlachetna. Kasa weteranów-drukarzy jest niezasobna, ofiara więc na ten cel jest pożądana.

Pannie Maryi K. Jakkolwiek działu muzycznego nie prowadzimy, jednakże upewnić Sz. Panią możemy, że śpiewanie w chórze z partytury pod wielu względami ma przewagę nad śpiewem z pojedynczo przepisanego głosu.



Ważniejsze omyłki druku,

dostrzeżone w t. 251 „Bibl. Dzieł Wyb.” w „Poe-
zyach” K. Glińskiego.

<i>Str.</i>	<i>wiersz:</i>	<i>jest:</i>	<i>ma być:</i>
17	10 od dołu	duszy	ciszy
38	1 od góry	dziki	cichy
69	14 od dołu	rumiana	ramiona
75	opuszczony wiersz 2-gi u góry — burze — czytaj: Ja jedna tylko w złocie i purpurze.		
86	7 od góry	Jeżeli	Świat

Od Nowego Roku 1902

każdy prenumeratorem

„GAZETY POLSKIEJ”

otrzymuje w zeszytach

Wielkie 4-otomowe dzieło

wspaniałe ilustrowane p. t.

„HISTORIA SZTUKI”

A. SPRINGERA,

w przekładzie Kazimierza Broniewskiego,
zawierające

1,500 reprodukcji arcydzieł malarstwa, rzeźby
i architektury,

wartości 20 rubli,

jako premium bezpłatne.

CENA „Gazety Polskiej” wraz z „Historią Sztuki”
i „Historią XIX stulecia” w **Warszawie**: rocznie rb. 9,60,
półrocznie 4,80, kwartalnie 2,40, miesięcznie kop. 80;
z przesyłką pocztową: rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6,
kwartalnie rb. 3.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Warecka 14





450. —

777202/82

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

201863

Biblioteka WSP Kielce



0070043